Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1882. Rok V.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

NA ROK NOWY.

Wstępując w progi nowego roku, siódmego istnienia gal. Towarzystwa łowieckiego, piątego działania Pisma naszego, winniśmy rozglądnąć się po całym obszarze naszych dotychczasowych czynności.

Już w poprzednich sprawozdaniach omawialiśmy nieraz cele, dążenia i zakres działania naszego Towarzystwa, wspominaliśmy szczegółowo o jego wpływie na ogół myśliwstwa krajowego i pozakrajowego, o jego znaczeniu i doniosłości. Nie chcemy się powtarzać, rozpatrzmy się raczej obecnie w dotychczasowem działaniu Pisma naszego, które winno być wyrazem postępu i rozwoju łowiectwa krajowego. Rozpoczynając działanie nasze na polu piśmienniczem, rozglądnęliśmy się po całym obszarze literatury naszej łowieckiej. Szczupły i niedostateczny znaleźliśmy materyał. Pisma, w którem by nauka łowiecka jakoby w ognisku zespoliła swój zasób, nie było żadnego, innych prac, treści ściśle łowieckiej nader mało. Jedynym materyałem było kilku naszych znakomitych badaczów przyrody i liczny zastęp pism treści łowieckiej i przyrodniczej w literaturze francuskiej i niemieckiej. Mieliśmy więc otwarte pole, zadanie na pozór łatwe, bo każdy przedmiot nie tknięty wpraszał się pod pióro, ale zarazem trudne, bo trzeba było obmyślić jakiś system, jakąś metodę wykładu, aby chaotyczny rzut różnorodnych kwestyi łowieckich nie sprawił zamętu w umysłach czytelników, mgłą nie osłonił celu, do którego Pismo dążyć powinno. Z tego powodu, wyjaśniwszy naprzód cel i dążenie Towarzystwa łowieckiego jakoteż organu jego, ułożyliśmy program czynności naszych przyszłych na polu piśmienniczem, i wiernie dotąd trzymamy się owego programu. Zdaje nam się, że dostatecznie wyjaśniliśmy w artykułach wstępnych potrzebę podniesienia krajowego łowiectwa i rybołowstwa, cele i dążenia Towarzystwa łowieckiego i jego Pisma, konieczność naukowego kształcenia się myśliwych naszych na polu przyrodniczem, wreszcie powody, jakie przyczyniły się do upadku naszego łowiectwa i zniewoliły do usiłowań podniesienia go, uregulowania i uformowania z niego jednego z źródeł dobrobytu krajowego.

Przedewszystkiem należało naukę łowiectwa podnieść na stopę umiejętności. Dotąd było myśliwstwo u nas czczą rozrywką, bezmyślnem tępieniem zwierzyny przez licznych, najczęściej nieuprawnionych jej prześladowców. Tamę temu złemu położyła naprzód Ustawa łowiecka, nadająca normy myśliwstwu. Następnie Towarzystwo łowieckie i jego Pismo skrzętnie rozpoczęły szerzyć naukowe w dziedzinie przyrodnictwa wiadomości w przekonaniu, że one tylko sprowadzą dotychczasowe myśliwstwo nasze z błędnych dróg, któremi dotąd kroczyło, na tory postępu i światła. Idąc w ślady innych promieniem nauki oświeconych narodów, mogło Towarzystwo łowieckie zdobyczami ich zapełnić kolumny swego organu, ale rychło się okazało, że i my posiadamy badaczów przyrody, myślicieli i uczonych, którzy z zapałem jęli się sprawy tyle w następstwach pożytku rokującej. Tu należy nam podnieść wielką zasługę znakomitego, ustalone już i świetne imię w świecie naukowym mającego badacza przyrody i pisarza, hr. Kazimierza Wodzickiego. Oceniając szczere i chwalebne chęci rodzącego się Pisma, poparł je dzielnie, dodał mu powagi i znaczenia, i tym przemożnym wpływem swoim zapewnił byt temu Pismu, które w przeciwnym razie musiałoby mozolnie dobijać się uznania i wartości. W ślad za nim poszli zacni i zaszczytnie znani w literaturze naszej Leopold hr. Starzeński, Dr M. Nowicki, Karol Brzozowski, Artur Barthels, którzy nie tylko pociągnęli za sobą licznych Pisma współpracowników, ale nadto tyle mu nadali znaczenia, iż wielcy nasi pisarze Alex. hr. Fredro, Józef Ig. Kraszewski, Dr. Ant. Małecki raczyli je ozdobić swemi pracami. Tak więc ułatwionem było zadanie Redakcyi, już ona postępować miała drogą przez współpracowników wskazaną, już też nie zeszła z niej i kroczyła nią przez lat cztery, siejąc ziarno, które dziś w zdrowy klos wyrasta i pożywnego dostarcza pokarmu. A możemy śmiało chlubić się owem twierdzeniem, bo Towarzystwo łowieckie w coraz szersze rozwija się grono, a Pismo jego zyskuje coraz liczniejszych czytelników. Wprawdzie świat naukowy, zwłaszcza krajowy, przyrodniczy, głuchem milczeniem płaci nasze gorliwe usiłowania, ale czerpiemy otuchę do dalszej pracy na tem polu w moralnem naszem przeświadczeniu, iż działamy istotnie pożytecznie, jakoteż w zachęcie danej przez poważne Pisma Warszawskie, które nam niejedną zaszczytną wzmiankę poświęciły, i zasługę naszą na polu łowieckiem i przyrodniczem podnosiły.

W okresie czasu lat czterech przebiegliśmy już podobno po całej dziedzinie łowiectwa, potrąciliśmy o jego dzieje, dotknęliśmy jego wzrostu i upadku, daliśmy obraz czasów minionych i obecnego, wykazaliśmy potrzebę uregulowania łowiectwa na podstawie Ustaw prawnych i zwyczajowych, rozszerzyliśmy wiedzę przyrodniczą w skutek głębszych rozpatrywań i badań naszego przedmiotu, staraliśmy się wreszcie obznajomić czytelników z stanem łowiectwa w krajach, w których ono od dawna umiejętnie jest prowadzone.

Zdawałoby się pozornie, iż ściśle określony nasz przedmiot latwo się wyczerpie, że w krótkim czasie zabraknie materyału do dalszego pożytecznego działania, atoli kto głębiej w rzecz wniknie, ten niezawodnie przyzna, że łowiectwo, organicznie związane z przyrodnictwem, rolnictwem i leśnictwem, zwłaszcza nasze, dotąd prawie wcale w karby nauki nie ujęte, na nader rozległem polu rozwijać się może i powinno, że przeto Pismo, poświęcone myśliwstwu, obszerny i daleki oznaczając sobie zakres działania, może, nie zchodząc z drogi swego przeznaczenia, w długim jeszcze czasie nieść prawdziwy pożytek nie tylko łowiectwu, ale też pokrewnym jego umiejętnościom. Im dłużej takie Pismo żyje i działa, tem szersze, tem jaśniejsze rozlega się światło, tem znaczniejsza staje liczba pracowników na tej rodzimej niwie, dotąd odłogiem leżącej. Mamy nadzieję, że ci pracownicy z równym jak dotąd zapałem krzątać się będą około rozbudzenia wiedzy, około pomnożenia dobra powszechnego.

Z taką otuchą rozpoczynamy rok nowy, rok piąty naszego działania, uzbrojeni w najgorliwsze chęci, w wiarę w nasze ustalone już siły, w nadzieję, iż na drodze rozwoju i postępu silniej jeszcze i pożyteczniej działać będziemy mogli.

Chętny czytelnik „Łowca“ sam sobie zda sprawę, o ile Towarzystwo łowieckie i jego organ dotąd wytkniętym sobie celom i dążeniom odpowiadały, w razie potrzeby niezawodnie wytknie zboczenia, i skieruje na właściwe drogi.

Usiłujemy Pismo nasze treścią i formą zalecić czytelnikom. Treść pragniemy zawsze uczynić przeważnie naukową, formę zaś powabną i pociągającą. Z bieżącym nowym rokiem ozdabia „Łowca“ pełna łowieckiego znaczenia i artystycznego polotu winieta naszego znakomitego Juliusza Kossaka, która niezawodnie gorąco przemówi do uczucia naszych myśliwych.

Siejemy ziarno — Bóg plonom pobłogosławi!

Z takiem uczuciem ślemy myśliwym polskim na rok przyszły, osłoniony mgłą tajemniczą, dawne a serdeczne

Szczęść Boże!

WSPOMNIENIA z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ do SYRYI ROKU 1881.

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

(Ciąg dalszy).

Proszę wszystkich naszych czytelników, którzy się łaskawie losami naszej Syryjskiej wyprawy zaopiekować raczyli, ażeby nie zadrżeli o nas na myśl, że tę noc spędzać musimy pod opieką ludności, która czarta ubóstwia. Jezydy są to najpoczciwsi ludzie na świecie, i w ich obejściach, pod ich skrzydłami, bylibyśmy bezpieczniejsi może, niż pod czujnem okiem policyi Państw Europejskich. Ci Jezydy są w istocie dziwaczną sektą. Głównym ich aktem wiary jest przekonanie, iż Bóg, jako istota najwyższa i najlepsza, nigdy nic złego ludziom zrobić nie może, ale czart jest zły i szkodzić zawsze gotów, a więc jemu najwyższa cześć przynależy, ażeby go przebłagać i zrobić nieszkodliwym. Na cześć jego należy pościć, zabijać barany, czynić ofiary, które nam są przykre, bo tylko to jemu sprawiać może przyjemność, co nas udręcza, zaś Bóg, najlepsza, kochająca nas istota, w żadnem udręczeniu naszem przyjemności widzieć nie może. Więc posty, ofiary i udręczenia wszelkie Jezydy tylko czartowi niosą w ofierze. Niewiem czy kiedykolwiek filozofowie nasi nad tą myślą się zastanawiali. Dość, że ci sekciarze czarta nienawidzą, ale wszystko co mogą niosą mu w ofierze, ażeby go przebłagać i nieszkodliwym uczynić. Czczą go też pod postacią koguta ślepego i kulawego. To przesąd silniejszy jeszcze niż u nas, gdzie mówią, iż „trzeba i djabłu świeczkę zapalić“, a ci Jezydy palą mu wyłącznie wszystkie swoje kadzidła. Z tym kogutem było tu zabawne raz wydarzenie. Naczelnik tej sekty posiada u siebie wizerunek jego, i ten kogut ślepy i kulawy jest tu otoczony czcią najwyższą. Otóż będąc raz w krytycznem położeniu pieniężnem, ten naczelnik sekty pożyczył od pewnego zamieszkałego tu Włocha kilka tysięcy piastrów, a nieposiadając zbyt wielkiego kredytu, oddał mu w zastaw swego koguta-djabła. Przyszedł termin zapłaty — pieniędzy nie było! Otóż ów Włoch, w ciemię nie bity, wynalazł sposób. Począł objeżdżać różne osady, do tej sekty należące, ze swoim bożkiem w jassyr wziętym, i żądał wszędzie okupu. W krótkim czasie odebrał on wszystkie swoje pieniądze z takim procentem, że gdyby się to było zdarzyło w Galicyi, niemałe byłby miał zajścia z Prokuratoryą z powodu ustawy o lichwie. Dobroczynni cywilizatorowie europejscy nawet błogie owoce lichwy umieli zaszczepić na Wschodzie! Noc przepędziliśmy w stajence przy ognisku, a Brzostowski znowu cuda robił, bo z niczego zgotował nam wieczerzę, żywność bowiem nam wyszła, zwierzyna niedopisała, a raczej my niedopisaliśmy zwierzynie, musieliśmy więc kupić barana na obiad jutrzejszy. Jezydzi dostarczyli nam nieszczęsnej ofiary, jakby czartowi samemu. Baranka zabito, przyrządzono, i smaczny jego czomber zawieszono na belkach w naszej stajence. Gdy wszystko już było w śnie pogrążone, przyśniło się braciszkowi Lambert, który bardzo głodny spać się położył i o jutrzejszej baraninie marzył, że psy nasze w nocy jedzą owego baranka przeznaczonego na nasz obiad jutrzejszy. Budzi się nagle, robi alarm, i sen jego tak dalece zdaje mu się rzeczywistością, iż chwyta za kij, i zaczyna bić i wypędzać ze stajni biedne psy, które Bogu ducha winne i zmęczone przy nas spały. My poznaliśmy zaraz omyłkę, ale dusząc się od śmiechu nie wyprowadziliśmy z błędu braciszka Lambert, tylko zaczęliśmy ubolewać nad przygodą, i braciszek był przekonanym, że to wszystko było na jawie. Udaliśmy się do spoczynku, ale spoczynek był niemożliwym, bo matka zamordowanego baranka żałośnymi głosy wywołując ducha na nasz obiad przeznaczonego synka, przez całą noc spać nam nie dała. Rano, gdyśmy się wszyscy zbudzili, braciszek spojrzał na pułap stajenki i ujrzał wiszące szczątki barana, zawołał z komicznem zdziwieniem: „Qu'est-ce que c'est que ça?“ Odpowiedzieliśmy mu, że to jest pieczeń barania na nasz dzisiejszy obiad przeznaczona. „Ale to być nie może! Wszakże psy naszą baraninę tej nocy zjadły!“ — „Nie, to się braciszkowi tylko przyśniło“, — odpowiedzieliśmy chórem. — „A więc to był sen tylko?“ — „Tak, tylko sen!“ — Więc w takim razie zacóż wybiłem i wypędziłem te biedne psy?“ — „Tego nie wiemy!“ — odpowiedzieliśmy znowu, i głośne wybuchy śmiechu zakończyły tę komedyę.

Dnia 21 Marca bardzo rano wyruszyliśmy pod dowództwem Ormianina Panternika, z jego psami i zaimprowizowaną pogonką, składającą się przeważnie z samych czcicieli szatana, w stronę góry, okrytej rzadką sośniną, na owe obiecane pantery i daniele. Kto tylko z myśliwych wiele polował na grubego zwierza, mianowicie w górach, ten miał sposobność się przekonać, jakiej to wytrwałości, cierpliwości i ofiar wymaga tego rodzaju polowanie. Myśliwy, który się łatwo demoralizuje, niech w góry nie jedzie, bo może być przekonanym, że nieraz dnie całe nie spotka się z żadną zwierzyną, dopiero kiedyś, jedna chwila szczęścia wynagrodzi mu wszystkie trudy. Wyznaję, że w licznych moich górskich polowaniach te rzadkie chwile szczęścia zapisałem w rzędzie najpiękniejszych w mojem myśliwskiem życiu, dla tego to niepowodzenia ciężkie i długie znoszę z pokorą i cierpliwością, i górskie polowanie namiętnie lubię. Nie wszyscy nasi towarzysze podzielali to zamiłowanie moje. Gdy pantery stały się oczywiście *„lupus in fabula“*, a daniele niewyszły na strzelców, już z południa demoralizacya zupełna wkradła się w nasze szeregi. Lubo jeden z naszych Jezydów wypatrzył na przeciwległej górze znaczną trzodę danieli i stado dzików, które na polu żerowały, zmęczeni nasi towarzysze dalszych wyrzekli się łowów, rozpalili ogień, i zaczęli się krzątać około sporządzania zwłok owego baranka, który tej nocy pośród nas tak humorystyczną odegrał rolę. My dwaj tylko z Kara Audżim, woleliśmy żywe daniele, niż nieboszczyka baranka, i z psiarnią i pogonką, śród najdokuczliwszego upału, wdrapaliśmy się na szczyt przeciwległej góry. We dwóch tylko, bo trzecim strzelcem był nasz Panternik, obsadziliśmy możliwe przesmyki. Staliśmy więc od siebie o kilkaset kroków. Dalsze stanowiska oczekiwały naszych towarzyszy, którzy niestety stali się na teraz kucharzami, a nie myśliwymi. Sprytne daniele, gonione przez psy, przeszły właśnie owemi stanowiskami, któreśmy we trzech obstawić nie mogli. Naliczyłem sam 11 sztuk w jednem, a 7 w drugiem stadzie, ale przeszły koło mnie na odległość niemożliwą. Było między nimi kilka ślicznych łopataczów. Gdyby też nasi towarzysze byli swój zawód kucharski na później odłożyli, jakże piękną kartę byliby mogli w swoich pamiętnikach myśliwskich

zapisać! Przygnębieni i rozczarowani tem zdarzeniem, powróciliśmy z Kara Audżim do ogniska, powtarzając wiersz:

„Widzę to dziś niestety własnemi oczyma:
„Wielu u nas jest strzelców, lecz myśliwych nie ma!“

Dość wcześnie zeszliśmy się wszyscy na zaimprowizowane w lesie śniadanie, gdzieśmy czynnie dowiedli braciszkowi Lambert, iż jego sen był tylko marą, bo owego baranka zgłodniali myśliwi zjedli do szczętu, i jedynie kości psom pozostawili. Rozczarowani, ale każdy z nas w innym kierunku, i skwaszeni jakby korniszony w occie, zakończyliśmy tu nasze polowanie na grubego zwierza w Syryi, i pożegnawszy gościnnych czcicieli Czarta puściliśmy się na powrót drogą do Akbes. Nocleg wypadł nam nie w czystem polu, ale w rzadkim lesie, bez dachu. Rozłożono ognisko, i wrzucono na stos gałęzie terpentynowego drzewa, które śliczny daje płomień, z każdej gałęzi zawzięcie z ogniem walczącego drzewa tryskał płomyk błękitny, podobny do gazowych płomyków. *„Look, how they struggle for life, the Monarch of the Wood“*. „Patrz, jak o życie walczą ci monarchowie lasów“. Słowa te napisał jeden z wygnańców naszych, jasno mi one wtedy stanęły w pamięci. Podczas noclegu naszego, niesłyszeliśmy tu płaczu owcy, rozżalonej po stracie syna, nawet lament szakali z daleka tylko słyszeć się dawał, ale za to zimno silnie zaczęło nam dokuczać w tej dolinie, bliskiej gór okrytych śniegiem. Myśliwi nasi otuleni w burki, płaszcze, i w co kto miał, spędzili tak trzecią prawie z rzędu noc bezsenną i najniewygodniejszą przy ognisku. Nad ranem przekonaliśmy się, iż woda w dzbankach naszych zamarzła. Bardzo rano puściliśmy się więc w dalszą drogę, by się nieco ogrzać, co też wkrótce nastąpiło. Skoro słońce zeszło, nieznośny upał zaczął dokuczać. Strzelano po drodze do rozmaitego ptactwa. Kara Audżi zabił jastrzębia: *buteo ferox*, największego szkodnika ze wszystkich drapieżnych ptaków w Syryi, Brzostowski grzywacza i kilka drobnych ptaszków, a ja białego jastrzębia. Nad wszelki wyraz strudzeni, późno wieczorem przybyliśmy do Akbes.

Dzień 23 Marca spędziliśmy na wypoczynku po odbytych trudach. Noc spędzona w wygodnych łóżkach, bez towarzystwa kóz, owiec i baranów, była prawdziwą rozkoszą. Rano, chociaż stosunkowo bardzo późno, wszyscy powstawali, a ja zabrałem się do rysunku, ażeby naprzód naszkicować widok monasteru na pamiątkę dla naszego poczciwego, nieoszacowanego przełożonego ojca Destino, i dla odrysowania kilku typowych postaci. Ta praca zajęła dzień cały, i niedozwoliła mi nawet pójść na projektowaną zasadzkę na hyenę do naszej znanej jaskini. Hulimka i Brzostowski udali się tam przed zachodem słońca, i w istocie hyena wyszła na 30 kroków na Hulimkę. Celnym strzałem przeszył ją kulą swego Expressa, ale hyena jestto zwierz twardy i najtrudniejszy do zabicia na miejscu. Z ogromnym rykiem, koziołkując, zsunęła się w głąb' parowu, zostawiając za sobą obfite strugi ciemnej farby. Noc niedozwoliła za nią ścigać, i myśliwi przedsięwzięli nazajutrz dalszą rozpocząć pogoń, wszelką mając nadzieję, że tak silnie postrzelony zwierz stać się musi ich zdobyczą.

Dnia 24 Marca. Do dnia udali się Hulimka i Brzostowski na miejsce, w którem wczoraj porzucili ostatni trop postrzelonej hyeny. O kilka kroków od tego miejsca znaleziono już jej trupa. Kula expressa przeszyła ją przez uda. W tryumfie przywieziono do monasteru jej głowę i część skóry. Wszyscy serdeczne składaliśmy powinszowania Hulimce, który ubiwszy najciekawszy okaz zwierzyny, rzeczywistym został królem wyprawy naszej. My przez ten czas przygotowywaliśmy się w podróż do Antiochii, gdzie mieliśmy nadzieję, na tamtejszem jeziorze powetować zawody, które nam polowanie na grubego zwierza przyniosło. Pożegnaliśmy naszych kochanych Lazarystów ze szczerą wdzięcznością i z żalem w sercach. Ludność Akbesu, z którą także potrafiliśmy się zaprzyjaźnić podczas naszego pobytu, żegnała nas jak braci *„Da bir tefe rasgeledzeis!.... Inszałła!....“* (Da Bóg jeszcze się obaczymy!.... Daj Boże!) Tak wołali za nami ci poczciwi ludzie. Wątpię jednak, aby to już kiedy na tym świecie nastąpiło! Dawną, niegdyś już przez nas przebytą drogą puściliśmy się do Antiochii. W bardzo smutnym stanie znajdowały się nasze zapasy kuchenne. Wszystkiego mieliśmy ze sobą dwie przez Brzostowskiego kupione za 11 franków, ułaskawione czerwone kuropatwy, które miały zamiar żywe do Europy zajechać, głowę z świeżo zabitej hyeny i kilka ptaków wypchanych. Mamy dziś przeszło 10 godzin ciężkiej podróży, a więc o polowaniu na kuchnię myśleć nie można, byliśmy jednak o przyszłość spokojni. Twórczy zmysł Brzostowskiego nie zawiódł nas nigdy, pod jego opieką nigdy niedoznaliśmy głodu. Katastrofa nieprzewidziana, a która nas z początku mocno przeraziła, nastąpiła w ciągu naszej podróży. Gdy już dobrze o zmroku pozostałem przy tylnej straży naszej karawany, i żywą prowadziłem rozmowę z Janowskim o faunie, ornitologii i florze Syryjskiej, usłyszałem wystrzał u straży przedniej naszego oddziału. Po chwili zatrzymała się cała nasza karawana. Pocisnąłem konia, i z przerażeniem ujrzałem leżącego na ziemi wodza naszego Kara Audżi, który już o własnych siłach dźwignąć się nie mógł. Cóż się stało? Oto przed karawaną naszą, na skalistym stoku góry przechadzał się lis czy szakal, bo tego niezdołaliśmy sprawdzić. Kara Audżi nieobliczywszy się poprzednio z nerwami swego wierzchowca strzelił, a narowiste zwierzę spłoszone zaczęło z nim pomykać. Siodło się przekręciło i Kara Audżi padł na stos kamieni i stłukł sobie bok bardzo silnie. Karawana nasza szybko pospieszyła do Kirighan, by przygotować nocleg, a ja z Janowskim, dwoma mukrami i młodym Arabem Dagerem, służącym Janowskiego, pozostaliśmy przy pacyencie. Trudne to było zadanie przewieść go na osiołku, trzymając pod boki, przykładając ciągle kompresy, zaimprowizowane z naszych chustek, po bardzo długim pochodzie, późno w nocy zajechaliśmy, a raczej zaszliśmy do Kirig-han. Tu czekał nas nocleg okropny. Zastaliśmy silny oddział wojska tureckiego, który eskortował transport więźniów do Alexandretty, i tu cały han zajął. Musieliśmy więc znów nocować na gołej ziemi, w stajence, bo nawet słomę w drodze rekwizycyi zabrano dla wojska. Głód dokuczał, wielkie niebezpieczeństwo groziło kuropatwom ułaskawionym w klatce. Obmyślana przez Brzostowskiego wieczerza z ryżu, jaj i herbaty ocaliła ptaszęta.

Dnia 26 Marca. Kara Audżi czuł się nieco lepiej, ale z łoża o własnych siłach podnieść się niemógł. Chciałem przy nim pozostać, by go pielęgnować w chorobie, ale stanowczo oparł się temu i zażądał tylko, by przy nim pozostał Dager, służący Janowskiego, który mu przez cały dzień jeszcze miał przykładać kompresy, a jutro prawdopodobnie dogoni nas w Antiochii. Nasza karawana puściła się więc w dalszą drogę. Kroczyliśmy wzdłuż brzegów jeziora Antiochijskiego, które się oku przedstawia jak istny Ocean. Po prawej stronie skał, nad któremi pławiły się białe sępy, udało mi się zabić jednego z tych ptaków. Jest prawie całkiem biały, skrzydła czarne, dziób i część głowy żółte, silnie sterczące ma pióra na głowie i szyi. Gościniec wiodący do Antiochii przypomniał mi jeden z gościńców naszych galicyjskich, wybudowany w czasach przed-

autonomicznych, o którym pewien nasz dowcipny dziennik się wyraził, że to jest gościniec „kapitalny“ biorąc etymologię łacińską od słowa *caput* (głowa), kamienie bowiem wielkości głowy, na tym gościńcu leżą. Trzeba w istocie zręczności wierzchowców tutejszych, by tam nóg nie połamać. Nad wieczorem ujrzeliśmy Antiochię z jej ruinami, wodociągami, a skąpaną wezbranemi falami Orontu. Zubożały to monarcha, który się ubrał w łachmany. Miasto usiadło u stóp stromych skał, na których stoku, jak orle gniazdo, przyklejone są ruiny trzech zamków mniejszych, a na szczycie najwyższej skały, jak korona, usiadły zwaliska zamku, który niegdyś zdobytym był przez Tankreda. Imponujące sprawia wrażenie Antiochija. Jestto niegdyś wielki pan, dziś żebrak, który, zdaje się, iż chce się kłaść do trumny, ale piętno królewskie jasno przebija z liców tego żebraka. Trzęsienie ziemi, które miasto przed ośmiu laty nawidziło, było ostatnią trawiącą gorączką staruszka. Antiochia kilkakrotnie kataklizmami niszczona, trzema warstwami zapadła się w ziemię. Są tu trzy miasta nad sobą stojące: dwa miasta umarłych, jedno żywych, i właśnie to żywe miasto jest owym konającym staruszkiem. Robi ono wrażenie znędzniałego, zchorzałego i wiekiem zgnębionego potomka starożytnego królewskiego rodu. Zaniedbany, schorzały, pół-kupiec, pół-dziwak, błąka się jeszcze po świecie, a jego przodkowie-rycerze już w grobie. Dzwon dziejowy i dla niego zabrzmiał głosem zagłady, na bliskim jego pogrzebie skruszą tarczę herbową, i ród wygaśnie. Taką jest Antiochia. Pierwszy raz, odkąd jesteśmy na Wschodzie, zaznaliśmy niegościnności, i ta nas spotkała ze strony europejczyka, a co najgorsze ze strony katolickiego księdza. Udaliśmy się do klasztoru, w którym mieszka proboszcz kapucyn, Włoch, sam jeden na pozór, a obszerny ten klasztor jest jego pomieszkaniem wyłącznem. Odmówił nam jednak przytułku tłumacząc się, że miejsca nie ma. Powód był inny. Ten mnich, jak nam wytłumaczono, niedość sumiennie zachowuje przepisy swojego zakonu, i pod względem towarzystwa, które u niego gości, wiele ma sobie do zarzucenia, słowem celibat uważa za instytucyę niestosowną i niedorzeczną, lękał się więc kontroli europejczyków. Na Wschodzie jednak o przytułek nietrudno dla cudzoziemca. Znaleźliśmy natychmiast pomieszkanie u bardzo bogatego Araba, Maronity pana Ouard, właściciela znacznych posiadłości. Wyjątkowo czyste i porządne było nasze pomieszkanie, bo tego zataić niemożna, że u mieszkańców Wschodu, mieszkania i szaty zazwyczaj tak bywają zabrudzone, jak dziś dusze mieszkańców Zachodu. Tu doznaliśmy gościnności, która wszelkie nasze oczekiwania przechodziła. Nasz gospodarz Arab i jego rodzina, otoczyli nas pieczołowitością niewidzianą, w Europie zaledwo najbliższych serca w ten sposób ugościć umieją. I to proszę sobie niewyobrażać, że ten nasz gospodarz i jego rodzina są to dzicy Beduini z puszczy, owinięci w białe płaszcze, jedzący daktele i pijący kobyle mleko, jakto się w opisach podróży czytuje, lub widuje na obrazkach. Nie, są to ludzie o bardzo miłych formach, bardzo wykształceni, lubo europejskimi nie władają językami, pełni tej uprzejmości i grzeczności, która z serca płynie. Dziwny zwyczaj panuje na Wschodzie. Znakomici mieszkańcy miast, gdy się dowiedzą o przyjeździe cudzoziemców, sami spieszą z pierwszą wizytą. My też mieliśmy zaraz wizyt wiele, między innymi przybył dawny wice-konsul francuski p. Ponce, i teraźniejszy konsul francuski pan Mérelle, człowiek bardzo bogaty, posiadający 18.000 hektarów ziemi koło Antiochii. Wszyscy na wyścigi ofiarowali nam swoje usługi. Pan Mérelle zaprosił nas na wieczór. Po śniadaniu byłem z wizytą u tutejszego gubernatora, bardzo ma to być człowiek wykształcony, ale mówi tylko po arabsku, a dość źle po turecku, musiałem więc z nim rozmawiać za pośrednictwem naszego drogmana p. Mazouillet. Przed pałacem gubernatora widziałem ciekawy sarkofag fenicki, z białego marmuru, z ciekawemi płaskorzeźbami. Znaleziono go zeszłego roku w Oroncie. Rzadko coś równie pięknego pod względem rzeźby zdarza się widzieć. Wieczorem poszliśmy do p. Mérelle, tam czekał nas obiad, na który zaproszono także gubernatora. Obiad to niebył już orientalny, ale czysto francuski. Apartament elegancki, i o ile dozwalała architektura tutejszych domów, urządzony jakby na ulicy Ste Honorée. Pani Mérelle, paryżanka, osoba przystojna, bardzo miła i nadzwyczaj wykształcona, sprawy polityczne widocznie spoczywają w jej ręku, a mąż jest biernym, posłusznym wykonawcą jej najwyższych rozkazów. Przy niej bawią dwie bardzo przystojne i milutkie siostrzenice. Obiad był wykwintny, wina francuskie, strugi szampana, stary cognac i wyborne cygara, potem gra na fortepianie i zaimprowizowane tańce. Istne były to niespodzianki, i musieliśmy na ten wieczór zapomnieć, żeśmy na Wschodzie. Poznaliśmy tam Włocha p. Toselli, rządowego inżyniera Wilajetu Aleppu, który jako zamiłowany myśliwy podjął się z nami odbyć wyprawę na Antiochijskiem jeziorze i wszystko nam ułatwić. Z wdzięcznością przyjęliśmy oczywiście jego ofiarę, i umówiliśmy się zaraz, by nazajutrz w dalszą drogę wyruszyć.

Dnia 27 Marca wyruszyliśmy dodnia z Antiochii. Pan Toselli postarał się dla nas o namiot, a co najważniejsza, o lepszego psa. Był to kasztanowaty wyżeł angielski, zwany „Don“, własność bardzo bogatego młodego Araba, któregośmy poznali u p. Mérelle. Z największą gotowością pożyczył nam swego ulubionego wyżła na całą wyprawę. Jestto w swoim rodzaju idealny pies na frankoliny, które są jego wyłączną specyalnością. Tu dopiero doznałem istotnej rozkoszy tego polowania z tym niezrównanym wyżłem. Trzeba wiedzieć, że okolice Antiochii nieobfitują zbyt w te ptaki, i tylko niezwykłej zasłudze Dona zawdzięczam, że miewałem tu na nie tak przyjemne polowania. Z podobnym wyżłem w okolicach Adany i Pajasu każdy myśliwy łatwo byłby mógł mieć co dzień przy torbie kilkanaście frankolinów. Przeprawiwszy się przez Oront, udaliśmy się polując ku wiosce Irligan, niedaleko brzegów jeziora. Tu rozciągają się obszerne błonia, zarośnięte oleandrami i tamarizami, miejscami są trzciny i gąszcze niedoprzebycia, wszystko to poprzerzynane strugami, a gdzieniegdzie świecą się bagienka. Wspominać nawet niebędę o ilości kszyków, którešmy tam ruszyli, a do których strzelać niechcieliśmy wcale, zupełnie innej szukając zwierzyny. Don z Bleczką zaczęli szukać po tamarizowych krzakach, w których niezliczone stada pasących się bawołów bardzo polowanie utrudniają. Wyziew piżmowy tych zwierząt bardzo źle działa na węch wyżłów. Zabiliśmy jednak szakala, pięć frankolinów, siedm kszyków, kulona, przepiórkę i jastrzębia, a nasze psy wypędziły z gąszczy pięknego żbika: „*felis chaus*“, którego udało mi się zabiedz szczęśliwie, i zastrzelić na miejscu. Obładowani tak ciekawą i różnorodną zwierzyną, zdążyliśmy na noc do wioski Irligan. Tu ugościł nas Arab, koczownik, żyjący przeważnie z rybołowstwa, tak jak prawie wszyscy mieszkańcy tej wioski. Zauważałem tu, że mieszkańcy okolic Antiochii wcale się różnią co do charakteru od mieszkańców okolic Akbesu i innych arabskich miejscowości, które później spotkałem w ciągu mojej podróży. Tu bowiem dziwna jest mięszanina szczepów rozmaitych. Arabowie pomięszali się z Turkomanami, Ormianami. Czerkiesami i Cyganami. Charakterystyczne cnoty prawdziwego

Araba są tu zatarte, a bliskość większego miasta i styczność z nabiegłymi wyrzutkami europejskiego społeczeństwa, dokonały reszty. Widzieć tu się już daje fałsz, chytrość i chciwość, przywary nieznane u czystej krwi Arabów. Nasz gospodarz nazywa się Dager, ma chałupę z chrustu, postawioną na trzy lata tylko, bo jako koczownik po upływie tego czasu musi zmieniać siedzibę. Jestto zagorzały Muzułmanin, ale pomimo tego pokryjomu jada szynkę i słoninę, i pije wino i mastykę.

Dnia 28 Marca. Spędziłem śliczny poranek myśliwski na brzegach jeziora. Rzecby można, iż Noe po skończonym potopie otworzył okna swej arki i tu ptactwo wypuścił. Cóż to za skarby dla ornitologa! Udałem się z Donem i Bleczką w tamaryzowe zarośla i ruszyłem hyenę, ale do strzału przyjść nie mogłem, zabiłem parę frankolinów, zająca, przepiórkę i dwie szafirowe kury wodne *(Porphirio veterum)*. Ten rodzaj kury, wielkości łyski, zaliczyć można do rzędu najpiękniejszych ptaków. Jest błękitno-szafirowa, a dziób i łapy koralowe. Z wielką zaciekłością prześladowaliśmy później te ptaki, tak nas nęciła ich cudna sukienka. Moi towarzysze zabili 2 szakale, 2 frankoliny i kaczkę nieznaną u nas, podobną jest do szarki, ale nieco mniejsza, i dziób ma nadzwyczaj szeroki. Z taką dziwną mozaiką zwierzyny powróciliśmy na śniadanie do naszego taboru. Tam czekało nas wyborne *risotto* i wypoczynek. Wczoraj nabawiłem się bardzo silnej chrypki. Jest to dolegliwość, której często doznaję, skoro mi upał dokuczy. Dziś rano popełniłem na pozór niedorzeczność, bo pomimo chrypki skąpałem się w zimnych zdrojach Orontu. Kuracya podobna mogłaby być zgubną w Europie, tu wyleczyła mnie zupełnie z mego cierpienia. Po wypoczynku wzięliśmy zaimprowizowaną pogonkę i w tamaryzowych krzakach zabiliśmy szakala. W jednym z miotów widziałem żbika *(felis chaus)*, który przyparty przez pogonkę, wskoczył do kanału Orontu, i przepłynął go szczęśliwie. Żaden strzał go niedotknął.

Dnia 27 Marca czekaliśmy na łódki, które po nas z drugiego konca jeziora przypłynąć miały. Jedna tylko stała przy naszym brzegu, więc Hulimka z p. Tosellim puścił się nią na spacer na jezioro. Hulimka zabił wodną kurę szafirową, czaplę brunatną, zupełnie odmienną od naszych i jastrzębia. Ja zaś puściłem się sam w towarzystwie przewodnika, młodego Beduina, na obszerne błonia nad Orontem, ażeby zapolować na frankoliny, ulubioną moją zwierzynę. Towarzyszyli mi Don i Bleczka. Co też to może dobry przykład! Bleczka oczarowana cnotą Dona, tego specyalisty do frankolinów, zaczęła go naśladować, i aż trzy ptaki mi wystawiła, a przecież dotąd obojętnie koło każdej zwierzyny biegała. Don każdego frankolina na znaczną bardzo odległość zwietrzyć musiał, a jeśli ptak zbyt spiesznie wyciekał, to ścigał go umiejętnie w ten sposób, by go nigdy zbyt wcześnie do porwania nie zmusić. Jeśli się ten manewr nie udał, obiegał go, wielkie opisując koło, i naganiał wprost na myśliwego. Zabiłem zająca, trzy frankoliny, dwa jastrzębie i orła bardzo wielkiego, który się niestety pławił nad Orontem. Chociaż niezmordowany Don i heroiczna Bleczka rzuciły się za nim w wodę, mętne wprawdzie, ale bystre fale rzeki porwały ptaka, i w tej chwili zapewne, płynie do Oceanu. Mój towarzysz Beduin, niemógł się dość nadziwić mojej iglicówce, szybkości nabijania i odległości strzałów. Sprytny, jak w ogóle wszyscy mieszkańcy Wschodu, łatwo odrazu pojął cały mechanizm. Oświadczył mi życzenie strzelenia choć raz z takiej strzelby, na co się najchętniej zgodziłem. Jako cel postawił sobie na krzaku żółwia, istotę nadzwyczaj pospolitą w tych stronach. Biedny Beduin przyzwyczajony do swej janczarki skałkówki, do której daje nabój pistoletowy, a której kolba ma kształt jaskółczego ogona, nieprzeczuwał siły wystrzału z iglicówki. Ukląkł więc, jak to do strzału czynić zwykli wszyscy Arabowie, mierzył bardzo długo, wystrzelił i w cel trafił, ale żółw spadł z krzaka w jedną stronę, a Beduin trącony strzelbą jak długi leżał na wznak na ziemi. Bardzo się śmiał i cieszył z tej swojej przygody.

Nad wsią, w której nocujemy, ogromnych kilka stad pelikanów przeciągało wieczorem. Szum skrzydeł tych ptaków podobnym jest do zawierzuchy. Co żyje, stanęło pod bronią, i nasz han w jednej chwili przemienił się w młyn ognisty. Grzmiały Lancastrówki, Lefauchówki, kapslówki a nawet skałkówki, ale ani jedno piórko niespadło. Wysokość była też znaczna, a piersi tych ptaków uzbrojone są w tak twarde pancerze z piór, że je śróty na dalszą odległość przebić nie zdołają. Ilość kszyków, które się tu spotyka co kroku, jest niesłychana. Nieśmiem nawet w przybliżeniu postawić cyfry, do której w mojem przekonaniu dobry strzelec mógłby tu w jednym dniu doprowadzić. My nie strzelamy do nich, bo się lękamy bankructwa z ładunkami. Zresztą polowanie na kszyki, najponętniejsze dla mnie w Europie ze wszystkich może polowań, nie ma w Azyi żadnego uroku. Nie po to bowiem tak długą odbyliśmy podróż, by polować na zwierzynę, którą mamy w domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATERYAŁ DO DZIEJÓW WĘDRÓWKI NIEKTÓRYCH GATUNKÓW PTACTWA

PRZEZ

Karola Brzozowskiego.

(Ciąg dalszy).

Dla spiewaka naszych lasów, króla pieśni po słowiku, dla droździka *(turdus musicus)* główną cieplicą jest Syrya. Wcześnie w jesieni, bo już w pierwszej połowie Listopada, zjawia się po wszystkich oliwnicach Syryi i od polowania na niego rozpoczynają miejscy Nemrodowie wycieczki swoje myśliwskie. Dzięki gęstemu liściowi drzew oliwnych, którym po mistrzowsku zakrywać się umie, sprawa z nim dla strzelców potrzebujących długo mierzyć, nie zbyt łatwa, jakby umyślnie psotnik dosiaduje do chwili, kiedy skradający się zabiera do ściągnięcia cyngla i w jednem mgnieniu oka zlatuje odezwawszy się parę razy: *cyk, cyk*, mija dwa lub trzy drzewa i znowu zakrywa się najgęstszym liściem, pomiędzy najgęstszemi gałązkami. Upartego Nemroda bardzo długo nieraz wodzi w kółko, jakby w cyrku, aż w końcu znudzony odlatuje tak daleko, że Nemrod traci go z oczu. A co gorsze, ptaszyna przelatując z drzewa na drzewo, nieuniknionem swojem cyk, cyk, przestrzega wszyst-

kich na ziemi żerujących towarzyszów, które tak się pokryją, iż zdaje się, że w promieniu paruset kroków nie było i nie ma niczego. We Francyi, gdzie myśliwi liczą kwiczołka do grubej skrzydlatej zwierzyny, musi dziać się coś podobnego i sądzę, że dla tego to dali kwiczołkowi przydomek *la mauvaise* (złośliwy), a koledzy ich strzelcy Syryjscy za odlatującym, a długo już podchodzonym z drzewa na drzewo kwiczołkiem kiwają głową i bąkają: *ktir malaune*, bardzo chytry! Kwiczołek z początku trzyma się sadów oliwnych, w których na wzruszonej ziemi znajduje robaczka, a na oliwnych drzewach tu i owdzie zapomniany owoc, napotyka pod ogrodzeniami kamiennemi sadów licynę, owitą smilaxem, którego jagodą czerwoną chętnie się żywi. Późniejszy nalot kwiczołków, kiedy już zimowe deszcze głęboko rozmiękczą spiekami zopoczoną ziemię, rozsypuje się po wszystkich pagórkach, porosłych piłą morską, asfodelami, macierzanką, gdzie na każdym kroku jest to glista, to ślimaczek, to zresztą jaka jagoda mirtowa, choć tę ostatnią spożywa tylko z konieczności. Na miejscach tych, nie mających drzew wysokich, kwiczołek przestaje być chytrym i złośliwym, przed człowiekiem oddala się podskakując i na stronę cokolwiek zboczywszy, zabiera się do przerwanej pracy, do szukania pożywienia. Od rana do wieczora żeruje bez przerwy, biegając od krzaczka do krzaczka, najwcześniej znajduje się na pracowni i najpóźniej z niej schodzi. I ktoby przypuścił, że ten szary pasibrzuszek powróciwszy do ojczyzny będzie poświęcał parę godzin porannych i wieczornych głęboko z serca płynącej pieśni. Jakiż to hymn pochwalny być musi dla was niebotyczne świerki, na których ciemieniu siada z rozkoszą bard natchniony, jaka to pieśń dziękczynna dla Pana, który mu pozwolił powrócić w kraj rodzinny, gdzie wszystko lepsze i piękniejsze! Rozumiem cię ptaszyno, i dla mnie czemże są strumienie z brzegami strojnymi w mirty i oleandry w obec tych rzeczek polskich, które noszę w pamięci, za któremi tęsknię, czemże mi ten błękit nieba, żadną niesplamiony w dzień chmurą, a w nocy upiętrzony milionami jasno płonących gwiazd, czem mi to niebo, gdy wiem, że nie spadnie z niego, mnie, wygnańcowi rosa pociechy. Idź, idź dalej jasne słońce, zdaje mi się żeś ty nie moje, że to nie ty uśmiechałoś się kiedyś do mnie przez gałęzie puszcz i przez mgły Litewskie! Ku końcowi Lutego droździk śpiewak opuszcza Syryę i idzie daleko na północ, bo jeśli się nie mylę, śpiewa i pomiędzy świerkami za Baltykiem. W lasach litewskich wieśniak nazywa go wyzwolonym uczniem słowika, piewcą o dziewięciu językach. Wielki drozd paszkot i kwiczoł co rok wczasie zimy pojawiają się w Syryi, ale nigdy obficie, tu i owdzie spotyka się nad strumykami po polach kilka czasem kwiczołów, a paszkot jeszcze jest rzadszym gościem. Kos zdarza się częściej, ale to mieszkaniec Syryi, w Damaszku, gdzie ma wiele wody i gęstwin przy ogrodach, poważną swoją pieśnią ożywia sady i dano mu tam zaszczytną nazwę *bulbula*, to jest słowika. Wątpię, aby który z kosów tu zimujących miał swoje gniazdo w Polsce.

Przystąpmy do wielkiego działu ptactwa błotnego, na którego polowanie jest dla wielu myśliwych tak ulubioną zabawą, że je przenoszą nad łowy wszelkiego innego ptaka. Pod tym względem królową jest z pewnością słomka. Któż jej ze strzelców nie zna, iluż to posiwiałych myśliwych dalekie robi wyprawy od domu, aby do niej wieczorem strzelić w lesie na ciągu, lub jesienią w towarzystwie zabawić się polowaniem na nią z nagonką. W Galicyi sławny jest Olejów z przelotów słomek, które zdają się mieć w tej okolicy jeden z etapów swoich w pochodzie na południe. O powodzi słomek, która zalała na zimę z 1879 na 80 rok całe wybrzeża Karamanii, od Mersyny na wschód i Syryi, aż za Bejrut, rozpisałem się w „Łowcu“ z 1880 r. szeroko jako o zdarzeniu, na powtórzenie którego może Syrya paręset lat poczekać. W sprawozdaniu mojem starałem się objąć to wszystko, co mogłem w czasie długo-letniego pobytu w Oriencie zauważać interesującego o słomce, tu więc tylko ograniczę się na kilku słowach. Już ku końcowi Października zjawia się słomka nad Bosforem, wiem, że myśliwi wołoscy w laskach na pograniczu Bukowiny strzelają ją dość liczną przez cały Październik. Z pierwszemi słotami Listopadowemi przychodzi słomka nad cieśninę konstantynopolską i często tak obficie zapada w Belgradzkim po większej części kasztanowym i grabowym lesie, o dwie mile od Stambułu, że myśliwi i strzelcy Czarnogórcy, utrzymujący się z polowania, ubijają jej po kilkadziesiąt sztuk dziennie. Liczny ten gość, wyraźnie wprost przez morze przybyły, trzyma się krótki czas wzdłuż Bosforu, a potem rozsypuje się na niezmierzonych obszarach, pokrytych zaroślami i lasami nad morzem Czarnem i Marmora. Jeżeli zima jest łagodna, nie wiele słomek idzie na dalekie południe, gdy śniegi i mrozy im zagrożą, posuwają się w strony cieplejsze i chociaż w Syryi na zimę słomka jest corocznym gościem, to jednak wtedy tylko nalot jej jest obfity, gdy nagle góry Anatolskie i wysoko nad poziom morski kraj podniesiony, głębokim okryją się śniegiem. Szlaki słomek idą przeważnie wybrzeżami morskiemi. Wpływ wiatrów północnych, północno-wschodnich i północno-zachodnich często długo trwających, a gwałtownych, działa nadzwyczajnie wiele na zmianę tych szlaków, a raczej na przewagę, jaką biorą nad wybrzeżami zachodniemi Śródziemnego morza wschodnie jego wybrzeża i na odwrót. W końcu naszych spostrzeżeń opowiemy, jakim sposobem ptactwo idące morzem, zachwycone gwałtownym wiatrem, zepchnięte jest nim ze swej drogi i to nie w kierunku wiatru, ale w kierunku matematycznie do niego pionowym. Długotrwałe wiatry z wiosennemi groźnemi burzami mogą wpłynąć na zupełną zmianę szlaków, w takim razie słomka wybiera drogę lądową, i tak w 1880 na wiosnę pochód jej powrotny na północ z jednej strony kierował się na Gibraltar, z drugiej strony na Armenię i wybrzeża wschodnie Czarnego morza. Słomki, których powódź opisaliśmy, opuściły prawie wszystkie jednego dnia Syryą, nie powróciły jednak szlakiem Anatolsko-Bosforowym na północ, nie widziano żadnego znaczniejszego oddziałka z owej kilko-milionowej armii w okolicach Smyrny, nie widziano słomek tych wiosennych na żadnej wyspie Archipelagu. Miałyżby te szczególnym zbiegiem okoliczności w jeden olbrzymi zastęp zlane całe pokolenia zginąć w pochodzie? Tak gotów byłbym sądzić, gdybym niedowiedział się na pewne, że przez okolice Poti przechodziły w tym czasie liczniejsze niż kiedykolwiek słomki. Łatwo sobie tłumaczę to wiedząc, dla czego i sławny szlak Olejowski nie miał owej wiosny tego upragnionego gościa. Zima z 1880 na 81. nie napędziła do Syryi słomek. Jeden z najpilniejszych na nie strzelców w Lattakii zaledwie ich ubił pięć. W początkach Marca u spadów Giaurdagu spotkaliśmy ich nieco, zdaje się, że nieposunęły się dalaj na południe, ubiliśmy ich kilka a jednę jeszcze po świętym Józefie.

Dubelt, na którego w pewnych okolicach Polski przez kilka tygodni poluje się z takiem zamiłowaniem, nie idzie drogami słomek i w ogóle w Oriencie bardzo go się rzadko spotyka. Nadybałem go raz w Maju na łąkach i błotach pod Widyniem nad Dunajem, gdzie co rok ma bywać, znalazłem kilka na błotach Dobrudży, dwa czy trzy nad Morawą, na granicy dawniejszej Turecko-Serbskiej w jesieni, a w Syryi

przez lat dwadzieścia ubiłem zaledwie cztery czy pięć w Maju i w tutejszych strzelców wmawiałem, że to są młode jednoroczne słomki. Byli tacy, co w to uwierzyli. Skąd i dokąd szły te pojedyncze przybłędy, nie wiem. Czy dubelt liczniejszym jest w Egipcie, od żadnego z myśliwych w Port-Said i w Aleksandryi dowiedzieć się nie mogłem. Ubite przezemnie ptaki były oblane jak u nas w Polsce w Sierpniu, cieszyłem się, że wyborny smak ich sobie przypomnę, tymczasem upieczone po prostu zjeść się nie dały, tak były tranem rybim przejęte. Pochodziło to stąd, że dubelt mając przed sobą tylko wyschłe łąki, na brzegach strumyków w szlamie znalazł obfitą drobnę rybkę i na niej się utuczył. Gdzie jest główna cieplica dubelta, który ze wszystkich bekasów jest najbardziej na zimno wrażliwym?

Kszyk opuściwszy nasze błota już po silniejszych przymrozkach (strzelałem nieraz w Grudniu jeszcze kszyka na oparzyskach), usuwa się przed nadchodzącą zimą i naturalnie kieruje się w strony, gdzie oprócz cieplejszego klimatu znajduje dla siebie stosowne miejscowości. Długim a szerokim pasem ciągnące się bagna nad Prutem, nie przejrzane okiem obszary topielisk i trzcin pomiędzy trzema ramionami Dunaju, brzegi jezior Dobrudżi, Dewny i Warny, błota ujść Marycy, Strumy, Wardaru goszczą przybyszów zebranych w wielkie korpusy aż do lodów, a gdy te zagrożą, kszyk posuwa się dalej, podróżując i w dzień i w nocy, a zawsze wysoko wynosząc się nad ziemią. Nie lęka się nawałnic i burz, wytrwały na zimno, dowolnie przecina pasma gór poprzeczne, śniegami zasypane, które w parę godzin lotu daleko zostawia za sobą. Dla niego świat cały szeroko otwarty! Z wyżyny lecąc rozgląda się w okolicy i gdzie mu się podoba, zatrzymuje się na czas dłuższy. Zauważałem nieraz kszyki spokojnie żerujące na błocie, które głos towarzyszy wysoko ciągnących nagle zachęcił do drogi, zrywały się tłumnie, a nie potrzebując jak my, długo wybierać się do podróży, raźno doganiały w powietrzu bratnią karawanę. Rzadko mieszkaniec Orientu ma zamiłowanie do polowania na ptactwo (wyjąwszy może kaczkę), europejczyk jaki chyba przerywa spokój kszyka na błotach, gdzie jedynie bydło po brzegach płoszy go popędzając o kilkanaście kroków w tył albo naprzód, ze wszystkiego więc ptactwa zmuszonego usuwać się przed zimą do krajów cieplejszych, bez wątpienia kszyk wystawiony jest na najmniej klęsk w pochodach swoich. Ród też jego potężny jest liczbą. Zdaje się, że dla rozmnożonego jak piasek morski tego Jakóba ptaków nie dosyć miejsca ni żywności na zajętych przez niego setkach mil kwadratowych, bo jakąkolwiek jest zima w Bułgaryi, Tessalii, Epirze, w Anatolii, od razu znaczne zastępy kszycze z początkiem zimy pojawiają się na wszystkich niższych miejscach Syryi, gdzie w krzakach tworzą się deszczowe zalewy, opanowują brzegi jezior, wybrzeża Orontu, bagna jego, niziny między Libanem, Antilibanem i obszar bagnisty za Damaszkiem i tu jeszcze im za ciasno! Gromadnie więc, nie zostawiwszy za sobą niezajętych małych nawet błotek i krynic, zapadają na setkach mil kwadratowych pokrytych świeżym iłem Nilu. Nie zdarzyło mi się nigdzie napotkać znaczniejszego lęgu kszyków w Turcyi, widać, że kilka miesięcy suszy pozbawiają ich potrzebnych warunków bytu. Tutejszy myśliwy zna tylko jeden głos jego: trwogi i ostrzeżenia, który wydaje zrywając się i szyjąc szybko przed siebie gzygzakiem, nie zna jego wiosennego wabienia się, ani beczenia w powietrzu, dla którego Litwin nazwał go koziołkiem „*Ożalis*“. W jednej tylko miejscowości, na północnych spadach Rodopy, a parę mil od Samakowa, na łąkach bagnistych, jak litewskie pokrytych wełnianką, z prawdziwą radością usłyszałem w powietrzu skrzydełka tego znanego mi od dzieciństwa latacza, na którym zaprawiałem się w strzelaniu w lot, rozpocząwszy od niego na wabika zawód mój myśliwski. Przyjemność polowania na kszyki opiera się na dwóch warunkach, na liczbie znaczniejszej ptaka i jego obyczajach dozwalających użycia wyżła, który do niego staje i wyrabia wyciekającego w trawie. Pomimo, że co rok na błotach mamy w Syryi pełno kszyków, mało kto na nie poluje, bo użycie wyżła jest niemożebnem a stąd i cały polowania wdzięk znika. Kszyk za mało tu ma trawy na zalewach, puszczająca się zieleń nie zakrywa mu człowieka, którego zresztą zbliżanie się słyszy przez klapotanie wody, więc też i zrywa się dosyć daleko pociągając za sobą krzykiem towarzyszów z pobliża. Na piętnaście wypłoszonych ledwie do dwóch lub trzech da się strzelić i to w najgorszych warunkach. Bywają dnie ciemne, mgliste, a wtedy kszyka ponad ziemią gzygzakującego młode tylko oko jasno może widzieć, a więc i strzelać skutecznie. W braku słomek lub innego polowania, chodziłem na kszyki i używałem chłopaków do spędzania ich z gołych łąk i niedawania im pokoju, a wtedy zapadały w wyższe zarośla mirtowe, gdzie dotrzymywały lepiej, a co najgłówniejsza, wypłoszone brały się więcej w górę i nad ciemnem tłem krzewów mirtowych uwydatniały się jasno nawet i staremu oku. Kszyk powraca na północ wcześnie, jednakże jego ariergardy nie posuwają się spiesznie, jeszcze w początkach Kwietnia licznie tego ptaka zebranego spotkać można.

Przybywa do Syryi, choć w nieporównanie mniejszej liczbie i mały bakasik o pięknych z metalicznym połyskiem piórkach, znany u nas pod nazwiskiem m y s z k i *(la bécassine sourde)*. Trzyma się jak i u nas rudawisk i twardo dosiaduje, jeszcze w Maju tu go spotykam. Myszka jak i kszyk nigdy tu nie jest oblaną, chociaż nie bywa nigdy owej motylej lekkości, którą wyjąwszy słomek, odznaczało się wszelkie przelotne ptactwo w pamiętnej zimie z 1879 na rok 1880.

Dzika gęś, wielka, siwo-popielata, najwięcej u nas znana z przelotów wiosennych i jesiennych, tu i owdzie na wielkich jeziorach w trzcinistych miejscowościach się lęgnąca, ciągnie na południe, uszykowana w sznur złamany pod kątem i jakby klinem, zastępem swoim rozpycha powietrze. Idąc dniem i nocą, częstokroć wyniesiona bardzo wysoko, dąży do cieplic odległych, zatrzymując się dla żeru i odpoczynku w okolicach bagnistych. Te same miejsca, o których wspominaliśmy mówiąc o kszyku, goszczą i gęsi, dopóki lody nie wypłoszą ich z obszernych, spokojnych i bogatych gospód i nie zmuszą iść dalej na południe. Zapadają czasem tak zmęczone, że nie mogą się zerwać na skrzydła. Polując raz późną jesienią koło Ruszczuka na kszyki, na bagnistych łąkach znacznie odległych od Dunaju, napadliśmy na kilkaset gęsi, które zrywały się na 70 do 80 kroków przed nami i natychmiast zapadały. Mieliśmy tylko śrót bekasi i to bardzo cienki, strzeliliśmy po kilka razy nie mogąc ubić żadnej i tak je naprózno otaczając i ścigając zapędziliśmy na Dunaj, gdzie znalazły bezpieczne schronienie. W Syryi nadmorskiej gatunek ten gęsi naszej jest prawie nieznany, doliny Eufratu i Tygru są jego cieplicami. Nad obszernemi polami niezmierzonej okiem płaszczyzny leżącej w klinie między wspaniałym Tygrem i rzeką Dialą, wpadającą do niego, we wszystkich kierunkach latają gęsi, rzadko kiedy uszeregowane, ale hałaśliwemi gromadami, jak nasze domowe, w twardej jesieni z oziminy spędzone. Na bardzo znacznej przestrzeni Tygier ma brzegi podniesione sztucznie, z murowanemi okienkami na poziomie ról, któremi w zimie woda wezbrana

szeroko się rozlewa i rozprowadzona po zasiewach zasila je potrzebną wilgocią. Tu wielka gęś popielata, gdyby jej nie-spędzano, przyprawiłaby rolnika z pewnością o klęski nieobliczone. Każda wieś, dzień i noc, broni swe pszenice i jęczmiona małymi oddziałami konnych fellachów, którzy szarżują galopem na stada gęsi i wrzaskiem i strzałami starają się je odegnać jak najdalej. Wsie są wzdłuż Tygru i Diali po parę mil od siebie odległe, mieszkańcy skupieni na małej przestrzeni, a pola ich porozrzucane i od domostw odcięte nie raz dwu-milową drogą. Młóci się na miejscu końmi, zboże wywiane i część słomy już na sieczkę podeptaną przez konie, zwozi się do domu na wielbłądach, resztę zostawia się na miejscu. Gdyby nie wezbranie Tygru, którego wody trzeba uregulować na oziminie, a na co pięciu dni dosyć, i gdyby nie gęsi, właściciel obsiawszy swe pole, nie zajrzałby na nie aż dopiero w chwili sprzętu. Będąc przez dwa lata w Mezopotamii, miałem sposobność widzieć kilko-tysięczne stada gęsi w ciągłym ruchu, a dzień i noc słyszyć hałaśliwe ich gęganie. Pomimo ciągłej strzelaniny i szarży konnych, gęś mniej jest ostrożną, niż u nas w Polsce i równie konno jak i pieszo, często na bliski strzał nawet zejść się daje. Tu i owdzie na obszernym stepie są miejsca zaklęsłe, nie uprawne, gdzie woda deszczowa tworzy stawki i kałuże, tam to powypłaszane gęsi gromadzą się, stłoczone jedna na drugą, lub zapadają na wody Tygru, czyhając na chwilę sposobną do spadnięcia znowu jak złodziej na ozimінę, choćby dla uszczypnięcia jej raz jeden tylko. Nie wiele gęsi ginie od strzałów, więcej ich chwytają fellachy na zalewach na wędki, i wtedy gęś płaci się od 10 do 15 cnt. Widziałem u jednego beja dwa pyszne wielkie drapieżniki *(buteo ferox)* ułożone na polowanie na gęsi, ale bej wolał używać ich na żurawie, które broniąc się dziobem, jak czapla sokołowi, walką zaciętą w powietrzu więcej go zajmowały. Na wielkich bagnach ujścia Dunaju, jak również na jeziorach Taszauł, Kustendżie i t. d. lęgną się gęsi, nie są jednak bardzo liczne, ogromne przestrzenie zarosłe lasem trzcin, a głównie spokój, jaki tam panuje, kazałby się spodziewać większej ich kolonizacyi. Odległa północ wychowuje po większej części gęś, której ogromne zastępy pokrywają w zimie całej okolicy cieplice. Sądząc po stosunkowo małej ilości gęsi, zatrzymujących się w przelocie na wielkich jeziorach południowych Turcyi, wnosić wypada, że już z okolic Dunaju idą szlakiem więcej wschodnim, a prawdopodobnie przebywszy pas gór, ciągną linią jezior i dolin, które począwszy od Marca prowadzą je aż w głąb' Palestyny. Wzdłuż morskiego wybrzeża Syryi, jak to wspomniałem, nasza gęś jest prawie nieznaną, ta którą tu strzelają, jest mniejsza i w niewielkich stadkach tu i owdzie zapada na oziminy i zalewy — jestto gęś *Bernikla*. Najgłówniejszy szlak gęsi szarej idzie przez Armenią, gdzie na jeziorze Wan ma pyszny etap, z którego dowoli przerzucić się może nad Tyger i Eufrat i ich szerokie równiny. Zmuszony dawniej odbywać często drogę morską między Kustendżą, Warną, Suliną i Konstantynopolem, miałem nieraz sposobność widzieć gęsi łańcuchami licznymi nad Czarnem morzem ciągnące ze wschodu na zachód na wiosnę, a przed zimą z zachodu na wschód, dziś więcej z topografią obszernego państwa Turcyi pod względem pochodów ptactwa obeznany sądzę, że gęsi te dążyły do Armeńskiego szlaku lub szły do niego.

Najrozmaitszego gatunku kaczki tłumnie ku końcowi jesieni poczynają zalegać ujścia Dunaju i wszystkie wielkie i małe jeziora Turcyi Europejskiej i Azyatyckiej. Jedne z nich zatrzymują się czas mniej więcej krótki i idą wolno na południe, inne czekają, dopóki zima nie wyprze ich z miejsc, w których im tak dobrze! Znana nam wielka kaczka i cyranka do liczby tych ostatnich należy. Rzeka Maryca w Bułgaryi, gdzie są w okolicy Filipopola i Tatarbazardżika obszerne ryżowiska, ma mnóstwo tych dwóch ostatnich kaczek. Opaśli tureccy bejowie, niezdolni żadnego ruchu, a lubiący strzelbę, wykopują sobie groty w brzegach Marycy, w miejscach nie zbyt głębokich i uwiązawszy parę domowych kaczek, całymi dniami siedzą zaczajeni na stada dzikich kaczek, które widząc na wodzie towarzyszki, zapadają przed grotą. Trzeba widzieć, z jaką skwapliwością bej ubrany do pasa w kauczuki, rzuca się do wody, aby zbierać ubitą lub chwytać podstrzeloną zwierzynę. Bogaci wyporządzają sobie ziemianki z wyrafinowanym *comfortem*, znałem jednego, co łamał nad tem głowę, jak sobie urządzić łazienkę. Wielu nocuje w ziemiankach strzelając kaczki przy świetle księżyca.

Zamiłowanie to do polowania z zasadzki na kaczki podzielał ze swoimi bejami i nieboszczyk sułtan Abdul-Aziz. Będąc jakiś czas w dobrach sułtańskich nad jeziorem Kiucziuk-Czekmedżi, z rozkazu Fuada Wielkiego wezyra, postawiłem kilkanaście pływających budek trzciną tak okrytych, że naśladowały malutkie wysepki. Strzelał z nich sułtan parę razy kaczki, i tak mu podobało się to polowanie, że kazał wystawić wielki kiosk myśliwski na piaskowej półwyspie, wynurzone na stopę z bardzo głębokiego, bo przeszło sto metrów jeziora. Nie śmiano powiedzieć padyszachowi, że tu budowla stanąć nie może z powodu infiltracyi wody, kazał — i byt' po siemu! W rok Abdul zjechał do kiosku z wielką pompą, — zabił jednę kaczkę, przenocował i rozchorował się od wielkiej wilgoci nowego myśliwskiego mieszkania, odjechał i nie powrócił więcej. Była to kaczka, co kosztowała sułtana siedmdziesiąt pięć tysięcy funtów tureckich, bo kiosk nie wytrzymawszy dwóch lat rozwalił się w gruzy. To zdaje mi się najdroższa kaczka, i taka tylko w Turcyi się lęże. Zauważałem nad Marycą, że prawie zawsze w pobliżu kryjówki na kaczki, siedzi para wielkich drapieżców *(buteo ferox)* i czyha na postrzelone, chwytając nawet ubite z niesłychaną szybkością i zuchwałością. Samiec to i samica, lub może dobrany towarzysz do łowów, bo samemu jednemu jastrzębiowi trudno jest upolować postrzeloną kaczkę, nurzającą się w wodzie. Sztuka cała, nie dać jej po nurku wypocząć, uderzać natychmiast, gdy się z pod wody wychyli, aby ją znowu zmusić do nurka. Co raz króciej kaczka zostaje pod wodą i staje się w końcu łupem wroga. Często kilkanaście minut broni się kaczka, wzięta we dwa ognie, a bywa też, że trzeci napastnik dopiero godzi łowców, znienacka spadając nieproszony i porywając im z przed szponów zmęczoną zdobycz. Z początkiem zimy wzdłuż morskiego wybrzeża Syryi, po wszystkich jej większych strumieniach, szczególniej u ich ujść do morza, jak i po wszystkich miejscach, zalanych wodami, widać zapadające i przelatujące kaczki najrozmaitszych gatunków. Wiele z nich przez dzień cały zebranych w liczbie kilko-tysięcznego stada trzyma się na morzu i dopiero w nocy idzie na ląd. Jeśli morze jest mocno rozbałwanione silnym wiatrem, kaczki opuszczają morze i gromadzą się po trzcinach, błotach a nawet po gołych rolach, gdzie żerują lub siedzą bez ruchu. W okolicy Lattakii polowanie na kaczki ulubioną jest zabawą fellachów, nie mających żadnego zajęcia przez Styczeń i Luty. Nie strzelają nigdy do pojedyńczych lub w lot, ale przypełzszy do wielkiego stada lub zaczajeni na nie, starają się kilka sztuk ubić jednym nabojem. Miejscami jednak o bajecznej liczbie kaczek na zimę są jeziora Syryi, między któremi trzyma pierwszeństwo Damasceńskie i Antiocheńskie. Ponieważ kraj począwszy od Marasz w Cylicyi

aż daleko w głąb' Palestyny uważamy za jedną z główniejszych cieplic naszego błotnego ptactwa, a szczególniej wszelkich kaczek, nurów, gęsi, łabędzi i t. p. i za szlak, którym ono posuwa się głęboko na południe i którym powraca na północ, sądzę, że nie od rzeczy będzie dać czytelnikowi rys całego tego pasa ziemi, godnej uwagi ornitologa i myśliwca i opisać inne jeszcze ważniejsze cieplice i szlaki błotnego ptactwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA BŁOTACH BEŁZKICH

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

„Nie wierz księgom — inna wiedzie
Do mądrości droga,
W księgach słyszysz głos człowieka,
W przyrodzie — głos Boga!“

Los kapryśny rzucił mnie tam, gdzie być nie chciałem, gdziem się być nie spodziewał — na bruk miejski. Ale młodość moją spędziłem śród przyrody, jej powabów i uroków, które mnie już w dziecinnych latach magnetyczną siłą ciągnęły ku sobie. Zawszem pragnął wnikać w jej tajniki, toż z dziecinną, później młodzieńczą ciekawością wdzierałem się dla zaspokojenia tej ciekawości i pragnienia rozszerzenia wiedzy nawet tam, gdzie przystęp najeżony był trudnościami prawie nie do pokonania. Rozkoszą było dla mnie przełamywać takie zapory, sięgać do głębi istoty rzeczy, badać ją wszechstronnie. Następnie podnietę do badania tajników przyrody zawdzięczam nieśmiertelnemu wieszczowi naszemu Wincentemu Polowi, który w swobodnej gawędce tyle wobec mego ducha odsłonił czarów przyrody, iż ukochałem ją i rozmiłowałem się serdecznie w jej tworach. Nieraz skromny lektor długie godziny spędzał w towarzystwie ociemniałego poety w miłej i nauczającej pogawędce, a zawsze prawie tłem jej były uroki natury, zwłaszcza rodzimej. Wspomnienia tych chwil były zawsze dla mnie zachętą do szukania życia i prawdy tam, gdzie one w całej pełni występują — w przyrodzie. Nasłuchałem się dosyć w życiu o wspaniałości i grozie puszczy Białowieskiej, o stepach Krymskich i ukraińskich, o cudach i skarbach przyrody. Uchyleniem rąbka jej potęgi zapalił się mój umysł młodzieńczy, rozżarzyła się iskra wyższego polotu w mej duszy, obudziło się gorące pragnienie rozszerzenia wiedzy. Toż chciwie czytałem opisy podróży, odkryć w dziedzinie przyrody — cokolwiek mi było dostępnem. Tak wszedłem na ową drogę, która dziś jeszcze dla mnie jest najmilszą, nie zboczę z niej, i do śmierci uczyć się pragnę z otwartej księgi — przyrody.

Przebaczy mi łaskawy czytelnik, iż zanim przystąpię do właściwego celu tej pracy mojej, zwrócę jego uwagę na okolicę Lwowa, a mianowicie na ową stronę, którą nam ku bełzkim błotom dążyć wypadnie. Powierzchnia ziemi uległa według zdania geologów znacznej zmianie, stało się to w skutek strasznej walki dwóch potężnych żywiołów, wulkanów zamkniętych w ziemi i rozhukanych fal wzbierających i rozszalałych wód. Z walki tej wyszła ziemia nie bez blizn, które pomimo lat tysięcy się nie zatarły. Więcej przerażającemi były one zapewne przed wielu wiekami, potęga czasu, wreszcie ręka ludzka wygładziły ostre i groźne zarysy ich kształtów. Wystarcza spojrzeć zszedłszy na błonia Zboiskie ku górom otaczającym Lwów, aby się utwierdzić w przekonaniu, że one kiedyś zupełnie inną miały postać. Góry te ciągną się długim łańcuchem od wschodu na północ, koło Żółkwi, Rawy ruskiej, od której jakby w łuk się wyginając dążą w stronę południową i stanowią jakoby brzegi krainy, o które uderzały niegdyś wezbrane fale potężnych wód. Kształty stoków tych gór każą wnioskować niemylnie, że stanowiły one tamę dla nawały naciskających fal. Wszakże góry podlwowskie od strony północnej w dosyć ostrych i stromych zarysach się przedstawiają. Najbliższy z tego punktu widzenia Wysoki zamek na północnej swej stronie pełen wymulisk, odmiałów i tak zwanych zakrętów i piasku z głębi wód bałwanami na szczyt wyniesiosionego, mnóstwa konch i muszli, jakie tylko w głębi mórz się znajdują. Dowód to oczywisty, że o te góry uderzały fale morza lub jeziora. Może dolina, na której obecnie rozsiadł się Lwi gród, była przystanią, taki bowiem jej kształt z trzech stron otoczona stromemi górami, od strony zaś zachodniej otwarta. Przyroda nakazała odwrót wzburzonemu żywiołowi, więc wrócił do swego dawnego łożyska morskiego, lub nowe sobie utorował, a drogi, któremi przechodził, znaczą się jakoby wyschłe koryta olbrzymich rzek. Ślady takiego odwrotu wód znajdujemy na stokach gór podlwowskich. Widocznie przeryły tu wody górzystą okolicę, żłobiąc w nich siedm koryt, a wszystkie w prostym kierunku od zachodu na wschód. Geologowie niechaj rozstrzygną, czy owe wody były miejscowemi, czy też w czasie potopu dotarły aż do tych gór, jakoteż zkąd przybyły, z Bałtyku czy z Czarnego morza?

Cała ta część dawnej Polski od Beskidów ku północy dążąc, zniża się jakoby po stopniach. Najwyższy stopień tworzą wszystkie górskie powiaty, których nie widzę potrzeby wymieniać. Dawna ziemia Przemyska, Samborskie, okolica Janowa aż po Lwów i Kulików tworzą niższy stopień, trzeci zaś poczyna się za Kulikowem, ztąd już ścieli się nieprzejrzana płaszczyzna, której środkiem wije się Bug śród rozległych moczarów i skromna Sołokija pod Krystynopolem, słynną siedzibą Potockich i wydarzeniem, opiewanym przez znakomitego poetę naszego Malczewskiego. Sołokija wpada do Bugu, a z nim do Bałtyckiego morza. Tę część kraju nazwałbym progiem wstępnym do Polesia, przytyka bowiem do niego, i tak jak ono lesista, bagnista i piaszczysta. Gdzie zwrócisz twe oko na zachód ku Rawie ruskiej, Potyliczowi, Uhnowowi, na północ ku Wielkim Mostom, Parchaczowi aż ku Baranim Peretokom, na wschód w stronę Radziechowa, Kamionki Strumiłowej, Dobrotwora, Witkowa aż ku Brodom — równo i równo wszędzie, nigdzie wzgórza, bez dyszla u woza — jak to mówią — śmiało jechać możesz. Utonąwszy w sosnowych borach dąż nimi aż nad brzegi Bugu, a następnie znowu borami aż ku błotnemu Polesiowi. Jam w ten sposób podróżował, ale

nie dotarłem do owego dla wielu wstrętnego i monotonnego, dla mnie zaś nader uroczego Polesia. Wąskiemi, piaszczystemi, leśnemi drożynami jechałem mil pięć, i po drodze znalazłem tylko małą, z kilku chat składającą się osadę z turkoczącym młynkiem wodnym, i niezbędną przy nim karczemką żydowską. Nazwy tej osady nie pamiętam, byłem jednak jej widokiem zdziwiony, a nawet zachwycony, zazdrościłem jej osamotnienia i spokoju. Biednaż to była osada, bydła nie wiele, leśnej rasy, małego i wątłego, za to kóz dużo. Ornego pola i łąk było tam zbyt mało, więcej wydm piaszczystych, porośniętych karłowatą sosną. Chaty czyste i porządne, całe obejścia otoczone mocnym, dębowym częstokołem, a na zapytanie, przed jakim to wrogiem tak silnie się obwarowali, odpowiadano mi: przed wilkami, które w zimie zwłaszcza mroźnej i śnieżnej nocną porą stadami napadają na nas, toż owe częstokoły i budynki z grubych, sosnowych bierwion w węgieł stawiane chronią nas i nasz dobytek od nich. Mówiono mi, że dziki także wpadają na kartofle lub buraki w jamach składane. Pamiętam, opowiadał mi jeden z mieszkańców tej osady, odziany w świtę burego koloru, skrojoną w sposób bardzo prymitywny, utkaną z mięszaniny koziej sierści z kłakami konopnymi, w czapce z tegoż materyału, ozuty w kurpie, chodaki z lipowej kory, lubo zdrowy i widocznie silny, chudy i smętnego oblicza: „Zyma buła wełyka, jakoś żołud' ne zrodyła, odnoi noczy dyki wpały i wsi kartofli ziły“. Doświadczenie uczy rozumu, odtąd kopczyki mieszczą się w wnętrzu obejścia. Dalej opowiadał, że psy tu się nie trzymają, bo najczęściej stają się łupem wilków, gdy się który z nich zawieruszy i nie zdąży przed nocą do obejścia, to już przepadł — wilki go złowią i pożrą. Jechałem wtedy w Lipcu, konie nie tęgie mocno się zmęczyły, ciągnąc wóz po piaszczystej drodze pełnej głębokich z powodu cieniu nigdy nie wysechających kałuż, ja także nie mało znużony byłem idąc ze strzelbą na plecach. Często zagłębiałem się w las w celu ubicia grzywacza, najczęściej na szczycie uschłej gałęzi sosnowej siedzącego, ale nie łatwa to była sprawa, bo to ptak nader ostrożny, podejść się nie da, więc z daleka trzeba było doń strzelać, z tego powodu po strzale zwykle ulatywał, i spadał dopiero dalej w gąszczu, gdzie nie łatwo go było odszukać. Jednak zabiłem ich kilka. Do wieczora było jeszcze daleko, postanowiłem jednak zanocować obawiając się zbłądzić śród takiego mnóstwa drożynek leśnych, któremi zwożą tarcice i materyał leśny, cała bowiem osada trudniła się tractwem i ciesielką. Przypadło nocować pod gołem niebem. Nazajutrz ruszyłem w dalszą drogę. Przebaczy mi łaskawy czytelnik owo zboczenie i wiele następnych, bo jużto jest moją naturą widzieć wszystko i mówić o wszystkiem, a zdaje mi się, że ów wstęp do właściwego przedmiotu tej rozprawy jest koniecznym.

Rok 1849 pamiętny z powodu zdarzeń, zanotowanych przez historyków i kronikarzy, pamiętnym też jest dla myśliwych. W roku owym rozbrojono kraj cały. Nikomu nie wolno było posiadać broni palnej, czy siecznej, nie wyłączając myśliwskiej. Posiadacz najniewinniejszej nawet ptaszniczki srogo bywał karany. Jaką minę mieli wówczas myśliwi, można sobie łatwo wyobrazić. Wszelkiej zwierzyny namnożyła się liczba niezwykła, a śród niej także drapieżnej, jak: lisów, wilków i t. p., szczególnej wilków w górach Karpackich w skutek nietępienia i wrzącej podówczas wojny w Węgrzech. Rządowy dziennik pełen był relacyi o napadach wilków, buszujących bezkarnie po całym niemal kraju. Ostry ten zakaz posiadania broni nawet myśliwskiej trwał przez lat kilka, poczem dopiero i to tylko niektórym właścicielom większych posiadłości udzielano tak zwany *Waffenpass* na jedną strzelbę. Niestety takiego Waffenpasu ani ja, ani krewni moi nie uzyskaliśmy. Nie tyleśmy to uczuli, bo namiętnie polowaliśmy z chartami, mimo tego jednak ponętnym był ów owoc zakazany. W domu mego ojca ukryte były jego ulubiona dubeltówka i ciężka pojedynka „Sagalasówka“, a u krewnych takiej przechowanej broni było więcej. W roku 1852 miałem odwidzić moich krewnych, lecz jakżeż jechać bez strzelby. Napróżno szukałem broni ukrytej przez mego ojca, więc pędzę do pobliskiego Lwowa, i kupuję u tandeciarza stary mocno zardzewiały, chyba z czasów Maryi Teresy, huzarski pistolet krzemieniowy. Uszczęśliwiony puszczam się w drogę do krewnych, ukrywszy pistolet głęboko w sianie siedzenia. Truchlałem podczas kilkakrotnej rewizyi paszportu mego przez żandarmów, ale jakoś szczęśliwie omyliwszy baczność owych argusów, dojechałem do Żółkwi. Za Żółkwią poczyna się płaska, moczarowata, miejscami piaszczysta i leśna okolica. Droga na Więzowę, Lubelę, Przystanie, Chlewczany, wiodąca do Bełza, ciągnie się z małemi przerwami lasami, a bory te sosnowe były jeszcze podówczas mało wytrzebione. Miłą jest zieleń drzew liściastych, chłód przyjemny, cień ścielący się w koło, ale milszą jest woń balsamiczna lasów sosnowych. Jakaż to urocza cisza panuje śród nich. Jedna tylko dla myśliwego ujemna strona w lasach sosnowych, że zwierza prawie w nich wcale nie ma, nie daje bowiem żeru, jakież zwierzę spożywa szpilki lub korę sosnową? Zając nigdy się tam nie zapuszcza, sarna nie często, jedynie dziki, mianowicie w miesiącach letnich zalegają w gęstych sośniakach, na bagnistych pełnych kałuż gruntach, szukając tam ochłody podczas upałów, na które nader są wrażliwe. Wtedy za dnia leżą, a w nocy żerują po suchszych miejscach wysokopiennego lasu, żywiąc się wszelkiego rodzaju grzybami, korzonkami różnych ziół, wreszcie mrówczemi jajami, ryjami rozkopując owe w szpikowych lasach zwykle olbrzymie mrowiska, które często dochodzą dwóch łokci wysokości, a czterech objętości. Przy tej sposobności ocierają się o smolne pnie drzew, których żywica w letniej porze w skutek rozgrzania obficie na powierzchnię kory występuje, i tak osmolone zalegając w barłogach, nabierają na siebie piasku i szpilek suchych, spadłych z drzew, co wszystko mocno przylgnąwszy do szczeci, tworzy rodzaj pancerza skutecznie odpierającego kulę, gdy ona w słabiznę nie uderzy, a chroni też od wilgoci słót lub obfitej rosy. Jedno jeszcze zrobiłem spostrzeżenie, że dziki tak zwane smolaki nie bywają nigdy trapione przez wszy, choćby najbardziej zbiedzone niedostatkiem żeru lub zimą nawalną, gdy przeciwnie inne, a szczególnie warchlaki w kniejach w których wcale nie ma sośniny, jak w górach Sanockich, Stryjskich i t. p., srodze bywają nękane przez te pasożyty. We wsi Jasionce, w górach Samborskich, zabito w Marcu sporego, niezbyt nawet wychudzonego warchlaka, który owadu tego miał niezliczoną liczbę na sobie. Wiarogodni myśliwi w tych i innych górskich okolicach zapewniali mnie, że podobne wypadki często się wydarzają, przeciwnie myśliwi polujący w lasach sosnowych nigdy tego nie dostrzegli. Z końcem lata, gdy już zboża dojrzały i ziemniaki, porzucają dziki swe letnie, stałe legowiska w głębokim lesie, zalegając najczęściej jego skraje, zkąd robią wycieczki nocne w pola po żer, znaczną nieraz czyniąc szkodę, a w późnej jesieni, gdy żołądź obfity, to już dla nich istne gody, wtedy wypełniają się ich połcie przychudłe, gdy zima była lekka, znędzniałe, gdy sroga, a w lecie na postnej strawie utyć nie mogły. Stare odyńce i samury dosyć dalekie odbywają za żerem wędrówki. Silnym obdarzone wiatrem zwietrzą nawet łożyska sarny z wą-

tłem jeszcze, nie ruszającem za matką sarnięciem, i pożrą je, rzadko to jednak się wydarza. W zimie rade przebywają w głębokich borach sosnowych jedynie z tej przyczyny, że w lasach tych wyższa jak w liściastych temperatura, dla czego, tego wyjaśnić nie umiem, sam jednak nieraz się przekonałem, że w nich cieplej i zaciszniej, jak w lasach dębowych lub bukowych. Uważałem, że drzewo sosnowe nawet w czasie najtęższych mrozów nie zamarza jak inne, bo żywica opiera się sile mroźnej, i dozwala krążyć sokom, lubo mniej szybko, jak w lecie. Może więc ona wydaje z siebie pewien stopień ciepła, i ogrzewa nieco atmosferę lasu. Że soki istotnie krążą w zimie w drzewach szpilkowych, najwymowniej o tem świadczy żywa barwa ich szpilek. Również dostrzegałem, że w czasie nader silnych mrozów żywa zieloność szpilek przybiera jakąś ciemną, nienaturalną barwę, a gdy mróz zwolnieje, barwa ta zmienia się w normalną. Spostrzeżenie to najdokładniej sprawdziłem w latach 1868, 1869 i 1870, pamiętnych niezwykłymi mrozami. Mieszkałem wówczas w Przemyskiem o kilkaset kroków od jodłowego lasu, a raczej lasów, ciągnęły się bowiem na przestrzeni dziewięciu mil. Straszne wtedy były mrozy, drobne ptactwo padało, sam z 80 sztuk martwych znalazłem.

(Ciąg dalszy nast.)

KORESPONDENCYE.

Śniatynka, 6 Grudnia 1881.

Wspomnienie o Piotrze hr. Komorowskim i jego łowach. — W ostatnich latach zajęto się projektem osuszenia doliny Dniestru, zmieni ona przeto postać swą zewnętrzną, kultura zyska niewątpliwie, ale malowniczość i poezya dzikiej natury ustąpi wobec wiedzy ludzkiej, która nie jedno poprawia, lecz wiele też psuje. Część tej doliny od Koniuszek Siemianowskich i przeciwległych Kornalowic, z biegiem rzeki wijąc się szerokim pasem aż ku Rozwadowu, przedstawia obraz jedyny już w kraju, jaki chyba gdzieś około Pińska spotkać można, z tą tylko różnicą, że tam przybrzeżne rzek wyniosłości sosna porasta, tu zaś bujne dąbrowy, o ile je siekiera jeszcze zaoszczędziła. Ujście Strwiąża do Dniestru jest właściwie początkiem tych ciekawych i tajemniczych, bo prawie niedostępnych błót, głuche milczenie, jak w puszczy, przerywa tu tylko szelest wiecznie wiatrem kołysanej trzciny, dorastającej półtora sążnia wysokości i tak gęstej, że wąż się nie przewinie, bezdenne według legendy jeziora i jeziorka, zmieniające postać swoją prawie z każdą zmianą wiatru, który inaczej szykuje spławy, tworzą jedyne tego matecznika halawy, do których dostać się bardzo trudno, a często niepodobna. — Jak odrębny tam świat zwierzęcy żyje, jak inny ten świat w lecie, a w zimie, łatwo sobie wyobrazi myśliwy. Tamto wywodzą się czujny żóraw, czapla, bąki, często zalatują łabędzie, mówią i o pelikanach, a ileż kaczek, gęsi i rozlicznego błotnego ptactwa! Tam wreszcie wilk, lis żmijka, w skrajach sarna i zając błociuch, wydra jest tu w domu, a z płazów żółw smutnym świstem przypomina nam, żeśmy w przybytku, którego cywilizacya jeszcze nie śmiała dotknąć.— Bliżej brzegów Dniestru, gdzie namuły podniosły poziom, wyrastają gaje olchowe, podszyte gęstą i wysoką trzciną, a rozpięta po bujnych drzewach sieć dzikiego chmielu w malowniczych festonach i skrętach tworzy nieprzebytą zaporę, jak liany w lasach dziewiczych Ameryki. Takie wyspy olchowe na morzu trzcin, największe i najdziksze, ile sobie przypominam, należą do nadbrzeżnych włości Czajkowic, na wysokim pagórku nad Dniestrem uroczo położonych, i do Pohorec niemniej pięknych. Naprzeciw za szerokim, jak oko zajrzeć może, pasem błót, olszyna Biliniecka, opodal Majnicka, oddzielają wąskiemi smugami ciemnej zieloności trzciny od pagórków żyznych, a w dali błękitnieje pasmo Stryjskich Karpat ze swym najwyższym szczytem Paraszką. Widok to rozległy i pełen rozmaitości, dużoby się dało o piękności jego powiedzieć, a peizażysta znalazłby dla siebie przedmiot, godny Ruisdala. Myśliwy czy obojętnie go pomija— tego nie powiem, piękność i potęga natury nastraja ducha jego na ton wyższy, strzelec pospolity może nie czuć, ale prawdziwy myśliwy ma w sobie poczucie piękności przyrody, ona jest kanwą jego poezyi.

W tychto miejscach przed lat kilkunastu wesoło grała trąbka ś. p. Piotra hr. Komorowskiego, lub huczał głos jego jak piorunującego Jowisza. Starej daty myśliwy, starej daty szlachcic ś. p. hr. Piotr nieraz gościnnem, polskiem sercem podejmował liczne grono myśliwych w małym domku Biliniecкim, a kto się raz w tem kółku znalazł, temu pewnie na zawsze serdeczność, szczerość i wesoły humor zacnego gospodarza w pamięci pozostały. Nestor myśliwych swojej okolicy, miłośnik psów, których cały dom i dziedziniec był pełny, i wszystkie możliwe rasy reprezentowane, odziedziczył po wuju swoim Horodyskim sieci, jakich dziś także już nie spotkać. W trzcinach wywodziły się wilki co roku, i na te wilki odbywały się z sieciami istnie królewskie łowy. Nigdy niezapomnę postaci ś. p. Komorowskiego, jak na czele kilkuset obławników odbierał raporta o wabieniu, kombinował plan kampanii i przewodził obrzucaniu miotu sieciami. Cisza bywała zawsze wtedy śród tej masy ludzi, nie lubiących milczeć, taka, że szelest trzcin można było słyszeć. Milcząca energia dowódzcy, jego gestykulacya, ruchliwość adjutantów braci Sz, którzy byli zwykle jego prawą ręką, uroczyste twarze myśliwych, chwytających uchem każdy ruch, okiem każdy giest przewodźców, oczekiwanie pełne nadziei, a te typy nieocenione, poważne, jak ś. p. Alexander Dzieduszycki, inne jowialne lub niezapomnianego wdzięku w życiu, jak ś. p. Konstanty Morawski, i znowu oryginalne, jak drobna szlachta zaściankowa okoliczna z borsuczemi torbami, strzelbami powiązanemi, rozlicznego kalibru i kształtu, na sobie kapoty długie lub krótkie, płócienne kaftany, w kołpakach, kaszkietach lub słomianych kapeluszach. Wszystko to razem pełne barw i charakteru właściwego, zgromadzone na tle tych dziewiczych preryi, było nader urocze dla myśliwego. W końcu miot zamknięty, myśliwi rozstawieni, sygnałowi trąbki odpowiedziały jak echo inne trąbki, psy puszczone, i odezwało się obławników „hurra!“ w około sieci, że aż liść drży na olchach, i leci ten głos gdzieś po rosie, nim utonie w pustyniach, i znowu cisza — ucho wytężone słucha, dojeżdżacz pieszy podkłada psami, i naprzód jeden, potem dwa, potem cała zgraja na różne tony daje koncert nad koncertami. Wilki zbudzone sznurują po trzcinach, strzał pada po strzale coraz gęściej, czasem przy sieciach ozwie się wrzask obławy, odpierającej wilka, który stchórzył, i woli forsować sieci, jak

iść na strzał. Zmięszane głosy obławy i ogarów, huk strzałów, trąb odezwy — chaos — wre jak w kotle. W trzcinach szum i trzask wtóruje psom i idzie w ślad za nimi, przed sobą widok ledwie na pięć kroków, ztąd wiele chybnych strzałów, dużo spółek, a w następstwie rozpraw i dochodzeń pełnych zapału, zabawnych explikacyi. Wreszcie strzały coraz rzadsze, psy nurtują puszczę bezskutecznie — wilki wybite, miot skończony. Odzywa się pojezdne, myśliwi się gromadzą, kilkanaście wilków leżą jak barany, przy nich i lisiura dostał po skórze. Teraz wszczyna się wrzawliwa rozmowa, w której chciano zamknąć dnia tego dzieje. Tej już cytować nie będę, bo pragnę tylko wspomnieniem chwil tych bardzo dla mnie miłych uczcić pamięć ś. p. Piotra hr. Komorowskiego, starej daty myśliwego, starej daty szlachcica. Szlachetny był to i złotego serca człowiek, wolny od dumy, przystępny dla każdego, komu był przyjacielem, był nim szczerze i wiecznie, jako obywatel spełniał obowiązki swoje z całem oddaniem się i poświęceniem. — Cześć jego pamięci.

Stanisław hr. Tarnowski.

Rogatica (Bośnija) 2 Grudnia 1881.

(Ustęp z listu). Gospodarz mój, u którego stoję kwaterą, wielce poważny i małomowny Turek, chociaż dość młody jeszcze, nie odstąpi w domu swoim ani na jotę od dawnego zwyczaju być dumnym, lecz przytem dla mnie giaura nader gościnnym. Dziwny bo to człowiek, zdolnym jest przesiedzić dzień cały na wygodnej sofie, nic nie mówiąc, a może i nie myśląc, jedynie paląc fajkę i przebierając rodzaj rożańca. To prawdziwy syn Wschodu, wybornie umie się maskować. Z natury namiętny, czego dowodem chuda, zmarszczkami poryta twarz i oko lśniące dziwnym ogniem. W domu poważny i spokojny jak patryarcha, ale gdy dosiędzie swego prześlicznego gniadosza, a mnie posadzi na nie mniej pięknego siwego ogiera, gdy wyjedziemy po za miasto, na niewielką dolinę, za którą poczynają się wzgórza, a nawet wysokie góry, gęstym przeważnie dębowym porośnięte lasem, inny z niego staje się człowiek, żywy i rozmowny. Nie źle władając językiem bośniackim, żywą ze mną wiedzie gawędę, a ja jako Polak rozumię nieco ów język, a reszty się domyślę. Zawsze konno jedziemy na łowy, których mój gospodarz wielkim jest zwolennikiem, a ja, jak ci wiadomo, namiętnym adeptą. Na kilka godzin przedtem poprzedza nas wóz, wyładowany bronią myśliwską, prowiantem dla ludzi i zwierząt, wreszcie psem, kundlem wprawdzie zwykłym, ale nieocenionych przymiotów ogara. W dzień naszego św. Michała wyjechaliśmy na takie łowy. Myśliwych było trzech, Turek gospodarz, ja, i mój służący Słowak z rodu, poczciwy, wierny, doskonały myśliwy, lecz wielce niezgrabny. Ileto on natłukł talerzy, szklanek, o które tu tak trudno, nawet cygarniczka piankowa, dar twój, pożegnała się z całością w jego rączkach. Zajęliśmy stanowiska, gospodarz zadął w róg, było to hasłem do puszczenia psa. Po kwadransie odezwało się psisko swym basowym głosem, i po chwili padł strzał. Głos trąbki gospodarza oznajmił, że jak zwykle, tak i teraz nie spudłował. Pies goni gdzieś daleko, więc czekam, wreszcie gon ucichł, byłem pewny, że pies stracił trop. Spociłem się, jak ruda mysz na słońcu, bo stałem na skraju miłej polanki od strony południowej. Była wprawdzie gąszcz leszczynowa w pobliżu, lecz tak bujna i gęsta, że niepodobieństwem było zmierzyć się w jej wnętrzu, wreszcie pociłem się może bardziej z powodu niecierpliwego wyczekiwania, ażali pies nie nawróci zwierzyny. Wtem słyszę, jak w dali bąka ogar-kundel, więc baczność! Już słychać szum gałęzi i krzaków, wreszcie wysuwają się na polanę, byłem pewny, dwie sarny, których tu wiele, więc biorę na cel i palę, — niespudłowałem — podbiegam co tchu, patrzę, leży daniel, ale niestety łania. Wstyd mnie ogarnął, lecz było kroków z 80 i pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się widzieć daniela. Po strzale gospodarza, który ubił ślicznego rogacza, reszta stada około 8 sztuk pomknęła w las, poczem się rozbiły, a pies wypędził jedną sztukę na mnie. Św. Hubert łaskaw był dla mnie i dla niewiernego Turka. Posiliwszy się wybornym „pilawem“ t. j. potrawką baranią z ryżem, popijając go winem z mojej manierki wraz z gospodarzem, który udawał wierzącego, że to wódka, a więc napój nie wzbroniony przez wielkiego proroka. O tej porze poczynają daniele, w ogóle nie tyle dzikie i unikające styczności z ludźmi, jak nasze jelenie, schodzić w niziny, w pobliże pól, zasianych kukurudzą, i pasą się jej kaczanami, które bardzo lubią. — Gospodarz wrócił do domu, ja zaś nabiwszy śrótem moją pistonówkę, która mi lepiej służy, jak odtylcówki moich towarzyszów, którzy wyczekując zapisanych z Wiednia nabojów, smutne odbywają rekolekcye, idę przez ściernie ku mojej kwaterze, i w tym pochodzie zabiłem dwie kuropatwy i dziewięć przepiórek. Z niemałą radością powitano mnie w naszem kasynie, gdy bowiem Turcy nie jadają zastrzelonej zwierzyny, przeto rogacz i łania wraz z ptactwem poszły do wspólnej kuchni.

Bośniacy, może tylko w tej okolicy, nie wiele mają w sobie myśliwskiego ducha, a muzułmanie nadto gnuśni do łowów, które w górzystym kraju dosyć są mozolne, z tej więc przyczyny zwierzyny tu wiele. Dzików mnóstwo, czyniących znaczne szkody w zasiewach, a najwięcej w kukurydzy, a kartofli tu bardzo mało. Bijemy je tu często, i mamy z nich wyborne pożywienie, a nadto błogosławią nas mieszkańcy za tępienie owych szkodników. Zwykle po garnizonach żołnierze w wolnych chwilach zabawiają się chyba obfitemi libacyami w wesołem towarzystwie, my zaś inaczej ten czas spędzamy. Wolni od zajęć militarnych, po dwóch lub trzech, uzbrojeni w karabiny, rozchodzimy się po okolicy, i bijemy dziki i wilki, których tu wiele. Nie ma prawie dnia, w którymby nie padła jaka zwierzyna, garnizon więc składa się z myśliwych, wybornych strzelców. Mają tu być także niedźwiedzie i jelenie, lecz z nimi jeszcze się nie spotkałem. *D.*

Lwów, dnia 20 Grudnia 1881.

Na postawione przez p. S. Manasterskiego w Nrze 11ym „Łowca“ r. z. zapytania, pozwalam sobie dać następną odpowiedź. Jeżeli przy broni perkusyjnej i innej kurkowej w przeciwstawieniu do systemów bezkurkowych, życie ludzkie często wisi jakby na włosku, bo na małym karbie walca zamkowego, który przytrzymuje odwiedziony kurek, to bliższe rozpatrzenie systemu Teschnera nierównie większą, bo doświadczeniem stwierdzoną wzbudzać musi obawę. Naciąganie kurków, ukrytych w ujęciu strzelby Teschnera, z równoczesnem wysuwaniem i opadaniem luf w łożysku połączone, odbywa się za pośrednictwem hebla, który ekscentrem swym spełniając te dwie różnorodne czynności porusza nadto i wyciągacza nabojów. Komplikacya taka sprawia przedewszystkiem tę niedogodność, że chcąc być gotowym do strzału, trzeba pamiętać i o assekuracyi czyli zastawce naciągniętych a niewidzialnych kurków, którą niezależnie od reszty mechanizmu skręcając daje się dopiero strzelbie możność wypalenia po poprzedniem zaassekurowaniu. Konieczność tej assekuracyi wypływa z niewidzialności odwiedzionego lub spuszczonego stanu kurków przy zamkniętej broni. Nim się rozpatrzymy w głównej wadliwości t. j. w kon-

strukcyi tej właśnie zastawki, rozważyć należy, że sam hebel i połączony z nim ekscenter, doskonały w zastosowaniu do broni wojskowej, jest przy broni myśliwskiej, zatem przy dubeltówkach przeważnie, bardzo nieudałym przyrządem. Jeżeli tylko karb na haku przy lufach, przyciąganie i opadanie luf powodujący, wytrze się cokolwiek przez używanie, to ciągnąc za hebel opadają lufy prędzej niż przy pierwotnym niezużytym stanie tego karbu. Okoliczność ta na pozór tak mała ma dalsze tem ważniejsze następstwo. Nieobeznany z tym systemem strzelec, a bardzo często i nawykły już do niego myśliwy w pospiechu, widząc już opadające lufy, zwalnia dalsze naciąganie czyli skręcanie hebla, i nie naciąga kurków należycie, bo albo obadwa albo częściej prawy kurek zapadnie tak słabo w karby swego walca, że przy silniejszem zamknięciu i wstrząśnieniu nabitej już strzelby obie lufy, albo częściej jedna tylko t. j. prawka wypala. Kontrola dokładnego naciągnięcia kurków, jaką daje czucie palca i jednocześnie dochodzący do ucha odgłos zachwyconych karbów przy zamkach zwyczajnych, jest przy tym rodzaju broni bardzo słaba i niedostateczna. Co do tego twierdzenia polegam na własnem i cudzem znanem mi doświadczeniu, a teraz przystępuję do ocenienia konstrukcyi zastawki czyli klapy, jak ją p. Manasterski nazywa. Jestto dwuskrzydłowa mała rączka, szorstko nakarbowana dla pewniejszego ujęcia, która na swym czopku czworograniym ma osadzony i śrubką przymocowany krążek, pod blachą warkocza umieszczony. Połowa tego krążka jest grubsza i tworzy wystające półkole, którego kant jest właściwą zastawką. Przy skręceniu rączki trafia wystający kant zastawki na odpowiednie karby w górnej części kurków, i niedopuszcza wypalenia. Pomijając nierówne czasem wypiłowanie tego czopka kwadratowego, na którym osadzony krążek podlega w takim razie prędszemu zużyciu, to i przy najdokładnicjszej robocie zużycie czyli starcie tego kanta o karby kurków jest przy tak częstem użyciu nieuniknione, a gorszem o tyle, że zupełnie niewidoczne. Następstwem tego jest mimowolne wypalenie podczas otwierania zastawki lub po niem, jak to p. Remiszewski słusznie zauważał, bo wytarty bardzo nieznacznie kant półkola tego powoduje słabe zaskakiwanie zamków na karby walca, a mogą też wcale nie zaskoczyć kurki, i wypalają przy następnem otwieraniu zastawki lub też przy otwarciu jej przy silniejszem wstrząśnieniu. Dosyć częste w stosunku do rozpowszechnienia u nas Teschnerówek naprawki tej asekuracyi w tutejszych dwóch warstatach rusznikarskich, świadczą najwymowniej o ujemności tego systemu, a ujemność ta wkrótce znacznie się rozszerzy, bo udzielony na wyłączny wyrób tej broni przywilej właśnie się zakończył, więc wyrób takiej broni każdemu będzie dozwolony. Jeżeli tedy przy wyłącznym wyrobie jednej uprzywilejowanej firmy pojawiają się takie wady w konstrukcyi, ileż ich więcej w przyszłości spodziewać się należy. W Wiedniu, w Paryżu zaledwie dostać można nabojów Teschnera, tak mało jest tam zwolenników tego systemu pruskiej broni iglicowej, a zwolennictwo to jest czystem amatorstwem, wcale nieuzasadnionem, powiedziałbym nawet specyalnie galicyjskiem. Na poparcie twierdzenia mego przytaczam wyjątek z dzieła J. Neumanna, fabrykanta broni w Liege i autora kilku dzieł fachowych o broni. Pisze on: „Myśliwska broń iglicowa, do której też Tescherówki zaliczam, jest bardzo nieudolnem naśladownictwem wojskowej broni iglicowej. Konstrukcya jej jest nadto skomplikowana, nienadająca się wcale do dubeltówek, i gdyby dzisiejsi jej uprzywilejowani fabrykanci niewyrabiali jej z taką dokładnością, byłaby już dawno zarzuconą“. Należy tu dodać, że Neumann w dziele swem: Das Wesen der Hinterlader, pomiędzy znanymi systemami dzisiejszej broni wojskowej najwyżej stawia iglicówki pruskie, co rysunkiem porównawczym i gruntowną teoryą uzasadnia. — Co do nabojów wypada mi się także przychylić do zdania p. Remiszewskiego, bo istotnie zdarzają się wypadki nieznacznego wysunięcia się sztyfta z guzika nabojowego po dłuższem noszeniu broni, fizycznej zresztą niemożliwości tego nikt nie udowodni. Wsuwanie tego sztyfta napowrót, jakkolwiek nie jest połączone z niebezpieczeństwem, wywołuje jednak u każdego myśliwego, co przyzna p. Manasterski, pewną drażliwość. Zamki Teschnera mają z tego powodu sztyfty więcej wyskakujące, jak u Lankastrówek, aby trafiając w sztyft nabojowy popchnęły igłę głęboko w nabój, i tym sposobem kapsli w środku prochu osadzonej dosięgnęły. Tu pozwolimy sobie postawić panu Manasterskiemu następne pytania:

1. Czy są naboje Teschnera odpowiednio silne, aby przy słabem zawilgoceniu lub zanieczyszczeniu gniazda nabojowego nieurywały się przy szarpnięciu extraktorem, nierównie częstszem, jak przy innych systemach?

2. Czy rozmiar ich odpowiada zawsze kalibrowi gniazda i czy niebywa zupełnie mylnych kalibrów, które dopiero świdrem domorodnym regulować trzeba?

Kończę wyrażeniem przekonania, że Teschnerówki tak jak w swoim czasie Dreysówki są poprostu przemijającą modą, bo lepszego strzału ów system wcale nie daje, a jest on, jak mi się zdaje, dosyć nieudolnym, bo czy się nabój zapala z przodu, ze środka lub z tyłu, czy za pomocą jakiegoś przyrządu, sztyfta, igły i t. p., czyli też lontem, to na strzał w zastosowaniu do broni myśliwskiej żadnego nie wywiera wpływu. Innych w tym względzie czynników szukać należy, mianowicie dobrego materyału lufy, jej prawidłowego wydrążenia i dobrego prochu. Od czasu zarzucenia broni skałkowej, a może jeszcze i magazynków przy broni perkusyjnej, skrócony przewód zapałowy w kamerśrubie był już tak stanowczym postępem, że dalsze ulepszenia zapału wchodzą tylko w zakres mody lub myśliwskiej fantazyi. Wziętość Teschnerówek przypisuję głównie zmyślnemu urządzeniu hebla. W tej mierze zwracam wszakże uwagę znawców na systemy Henry-Spencer, Winchester i Fruhwirth, czyli na tak zwaną broń powtarzającą (Repetierwaffen), są to rzeczywiście genialne pomysły, a jednak żaden z nich dotąd nie jest ostatecznym krokiem na drodze postępu.

L. Weeber.

KRONIKA.

Powiat Zbaraski należy niezawodnie do najuboższych w kraju pod względem zwierzostanu. Tylko w wschodniej części są znaczniejsze błota, lecz od lat kilku ciąg bekasów i dubeltów nadzwyczajnie był mały. Lasów tam prawie niema. Środkowa część powiatu pozbawiona błót zupełnie, a w zachodniej rudy po większej części osuszone, na których kszyk do rzadkości należy i z chruścielem nawet nie łatwo się spotkać.

W skutek bezwzględnego niszczenia zwierzyny przed wejściem w życie Ustawy łowieckiej, wytępiono wszelką stałą i pożyteczną. Do ochrony i rozmnożenia jej szczególne nasuwają się nam trudności, bo nie tylko śnieżne zimy jako na wysoczyźnie graniczącej z okolicą do działu wód przypierającą niszczą sarny, zające i kuropatwy, lecz i straż pograniczna przyczynia się nie mało do wygubienia tychże, któż bowiem

zdoła dopilnować strażnika pełniącego służbę na granicy z bronią w ręku, czatującego bardziej na sarnę lub zająca, jak na przemytników. Również po drugiej stronie granicy tępi straż rosyjska zwierzynę, polując przez rok cały z psami, każdy bowiem tak zwany „starszy" bawi się w myśliwego i trzyma psy gończe, nie zważające na srogie przepisy odnoszące się do przekroczenia granicy.

Przy tak trudnych warunkach zadziwiającym jest zwierzostan w lasach Lubianeckich. Dnia 5. Listopada na przedwcześnie spadłych śniegach, przy 12stopniowym mrozie odbyło się w Lubiankach polowanie w 15 strzelb, na którem ubiliśmy w 7 miotach z pogonką 4 rogacze, 6 lisów, 54 zajęcy i 9 kuropatw. Sarn widziano ze trzydzieści kilka, a tylko z powodu braku wprawy w rozpoznawaniu rogaczy wielu myśliwych nie strzelało do blisko przemykających. Rezultat tych łowów niech posłuży za przykład, że nawet w najniekorzystniejszych warunkach można dojść do dobrego stanu zwierzyny, jeśli nie braknie umiejętności i pilności w dozorowaniu jej. Lasy Lubianeckie obejmują około 2000 morgów. Przestrzeń, na której polowaliśmy, nie przenosiła 500 morgów, mioty były długie, szron na drzewach utrudniał pochód nagonce i strzały myśliwym, mimo tych przeszkód pogonka była prowadzona wzorowo, a liczba chybionych strzałów mierna. — Szczerą gościnność gospodarza i wzorowy porządek, nie mniej też świetny rezultat łowów zachowają uczęstnicy tychże w wdzięcznej pamięci. *M. K.*

Czas z 23. Grudnia pisze: „Łowiec" pismo wychodzące we Lwowie, poświęcone myśliwstwu, przybierze nową winietę tytułową z wytwornym smakiem narysowaną przez Juliusza Kossaka, tego sympatycznego malarza łowów i koni. Dzielny dojeżdżacz przedzierający się na ognistym rumaku przez kolczasty płot liter, tworzących nagłówek miesięcznika, poświęconego sprawom łowiectwa, pali z bata nad głowami ogarów goniących już za tropem zwierza. Scenę tę rzucił artysta na śliczne tło uroczego i pełnego poezyi pejzażu leśnego. Utalentowany i sumienny rytownik p. Artur Napierkowski wiernie i starannie zamienił żwawą kompozycyę na doskonałą drzeworytniczą kliszę. Drzeworyt ten może iść o lepsze nietylko z pracami ilustracyjnemi warszawskiemi, ale nawet z francuskiemi i angielskiemi.

Liczne grono myśliwych powzięło myśl postawienia nadgrobka na świeżej mogile Tadeusza Wiśniowieckiego znanego i cenionego w kraju rusznikarza. Proszono nas, byśmy wezwali myśliwych do składki. Datki nadsyłać prosimy na ręce sekretarza Tow. łow. p. Wład. Zontaka. Po zamknięciu składki ogłosimy listę dawców.

W dniu 14. Października odbyło się doroczne Zgromadzenie ogólne członków Towarzystwa myśliwych im. św. Huberta we Lwowie, na którem Wydział Towarzystwa zdał sprawę z czynności swych w roku ubiegłym t. j. do 30. Września 1881, a następnie udzielił wiadomości, iż na rok przyszły zadzierżawiono w drodze licytacyi obszary gminne: Kulparków, Lesienice, Sroki, Skniłów, Zboiska, Żyrawkę, Zniesienie, Siechów, a nadto obszary dworskie: Kulparków i Wybranówkę.

W skutek poczynionych przez Wydział wniosków, powzięło Zgromadzenie ogólne następne uchwały:

a) Gdy liczba członków Towarzystwa urosła już do 43, a obszary dzierżawione przez Towarzystwo nie są zbyt rozległe, ograniczyć dalsze przyjmowanie członków.

b) W celu pomnożenia zwierzostanu na obszarach gminnych postanowiono, że tylko w dniach przez Wydział oznaczonych wolno będzie członkom Towarzystwa luźnie na zająca polować.

c) Nie będzie dozwolonem spraszać gości na polowania przez Wydział urządzane, jakoteż luźne.

d) Dokonano wyboru nowego Wydziału, w którego skład weszli: PP. Karol Gregor jako prezes, Julian Niewiadomski, zastępca prezesa, Ksawery Burzyński sekretarz, Władysław Bielański i Fortunat Stroński wydziałowi.

W roku ubiegłym urządził Wydział trzy polowania zbiorowe, których rezultat następny: dzik 1, kozłów 3, lisów 3, zajęcy 19, jarząbek 1, słonek 2. Razem sztuk 29.

Na obszarach gminnych nie urządzano polowań zbiorowych, polowania zaś luźne nie powiodły się zupełnie, ponieważ z powodu posuchy pojawiało się ptactwo błotne bardzo nielicznie. Natomiast wodne ptactwo mimo braku wód na obszarach do Towarzystwa należących, było wcale liczne, mianowicie kaczki, których ubito 26, wszystkie na jednym obszarze, posiadającym tylko małe błota.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Kozicki Edward
Krzeczunowicz Alexander
Rotter Władysław
Wiktor Adam.

W Listopadzie u. r. zawiązało się Towarzystwo myśliwskie pod firmą: „Towarzystwo myśliwych w Rohatynie", które wzorowo się uorganizowało, wydzierżawiło 31 polowań gminnych, ustanowiło straż łowiecką i kierowników polowania dla każdego rajonu, oparło przyszłe działanie swoje na podstawie statutu i regulaminu dla myśliwych, wreszcie rozesłało okólniki nie małego dla łowiectwa znaczenia. Towarzystwo to liczy obecnie w swojem gronie 41 członków, i zabrało się nader sprężyście do działania. Tak gorliwe usiłowania w celu podniesienia łowiectwa witamy z radością, i życzymy szczerze Towarzystwu powodzenia. Statutów jego nie umieścimy w Łowcu, bo są to statuta nieco zmodyfikowane Tow. św Huberta we Lwowie, znane już naszym czytelnikom, Regulamin zaś dla myśliwych, przyjęty przez Tow. Rohatyńskie, jest dosłownem powtórzeniem Regulaminu ułożonego przez Dr. Z. R., a umieszczonego w 1. Nr. Łowca z r. 1879. Okólniki ogłosimy w następnych numerach Pisma naszego.

Hr. Roman Potocki udzielił nam łaskawie wiadomości, iż bobrownie starannie urządzone i pielęgnowane istnieją obecnie w dobrach Radziwiłłowskich na Litwie, u ks. Witgensteina, w Berezynie, dobrach hr. Aug. Potockiego, jakoteż u hr. Konst. Potockiego w Rzepichowie, gub. Mińskiej. Ważny to przyczynek do monografii bobra, umieszczonej w przeszłorocznym Łowcu, o którym nie znaleźliśmy wzmianki nawet w Encyklopedyi rolnictwa, tak starannie redagowanej. Zwracamy też uwagę czytelników naszych, iż Dr. E Janota umieścił w „Przyrodniku" z r. 1872 wychodzącym we Lwowie pod redakcyą M. Łomnickiego i L. Wajgla obszerny artykuł o bobrze, oparty na rozległych materyałach. Artykuł ten nieznany nam w porze, gdyśmy skrzętnie zbierali wiadomości o bobrze, uzupełni próżnię, jaka w pracy naszej dostrzeżoną być może.

Na polowaniu odbytem w Kutkorzu u hr. Henryka Łączyńskiego, 6 i 7 Grudnia ubito rogaczy 14, lisów 8, zający 60, bażanta 1, jastrzębia 1. Stan sarn w rewirze Kutkorskim tak jest imponujący, że wszystkich uczęstników polowania w podziwienie wprawił, w niektórych miotach po 50 do 60 sztuk sarn widziano. Nie wiem, czy jest jaka knieja w kraju, którąby konkurencyę w tym kierunku z skutkiem wytrzymała. Pilny dozór polowania i systematyczne karmienie zwierzyny są tego powodem. Tępienie drapieżnego zwierza i ptactwa nie mało się również do tego przyczynia. W drugim dniu polowania widzieli wszyscy myśliwi 4 jastrzębie gołębiarze w jednym poranku złapane na samotrzaski. Około 100 sztuk tych szkodników łapie się tam w przeciągu każdego roku.

S.

Wróblewo, dnia 12 Grudnia 1881 r.

Jakkolwiek stan zwierzyny u nas tego roku dość pomyślny, jednakże mało polujemy. W Tarcach u hr. Gorzeńskiego-Ostroroga polowaliśmy przez dwa dni w 12 strzelb, i ubili 24 rogaczy, 1 lisa, 9 bażantów, 481 zajęcy i orła. Czas był piękny, lecz bez mrozu. Rykowisko jeleni, którego w żadnym roku nie opuszczam, było dosyć pomyślne, zaczęło się już 15 Września, niektóre poranki były prawdziwie rozkoszne, słyszałem parę razy odzywających się około dziewięć jeleni mocnych. Rezultat był dla mnie pomyślny, zabiłem trzy dziesiętaki, jednego czternastaka chybiłem, strzał był dobry, lecz na nieszczęście stało drzewko wprost przed jeleniem, a ponieważ odległość wynosiła 180 kroków, więc kula nie miała dosyć siły, aby drzewko przebić. Mój leśny zabił jednego widłaka. *Zb. hr. Kwilecki..*

Chlebowice-Świrskie, w Grudniu r. z.

W pierwszych dniach Grudnia wyszedłem ze strzelbą do lasu. W braku wyżła i ogara zwykłem brać kundysa, który nieźle tropił zająca, pies to duży, silny i nadzwyczaj odważny. Wiedząc z doświadczenia, że zając w tej porze roku przesiaduje w okrajkach lasu, podłożyłem psem w tej podszytej kniei. Pies buszował, ja czekam, wtem słyszę w pobliskiej gąszczy jęk jakiś chrypliwy, i wnet żałośne skowytanie kundysa. Byłem pewny, że rozprawia się z borsukiem, żerującym zapewne w ciepłej jeszcze nocy, i zaszytym w gąszczy leśnej. Dobiegam co tchu i dziwną widzę hecę. Kłąb jakiś żywy tarza się po ziemi, kundel mój czarny i zwierzę jakieś, zmięszani z sobą tak szybko koziołkują, że zwierzęcia żadną miarą rozpoznać nie mogę. Strzelić niepodobna — pies skowyczy w niebogłosy, a zwierz uczepiwszy się pazurami i zębami psa, żre go i parska — był to kot. Zrazu miałem go za żbika. Nie mogąc strzelić, chwytam go nierozważnie za ogon, oddzieram od psa i z całej siły rzucam na zmarzłą ziemię. Nie bardzo mu tem dokuczyłem, zrywa się i rzuca ku mnie tak wściekle i szybko, iż nie miałem czasu odwieść kurków u dubeltówki, więc widząc grożące mi niebezpieczeństwo umykam do gęstych, cierniowych krzaków. Kot pędzi za mną, wypaliłem

przytknąwszy lufki do samego kota, a znając siłę żywotną jego, umykam dalej. Pies uciekł, zdala przypatrywałem się śmiertelnej walce kota, jęczał, tarzał się po ziemi, pazurami darł ziemię, wreszcie po półgodzinnem może miotaniu się wyzionął ducha. Ostrożnie przystępuję do niego i poruszam kolbą. Przezorność moja była usprawiedliwioną, odżyło kocisko i chwyciło kolbę głęboko w nią zatapiając pazury. Długo waliłem w niego dębową gałęzią, zanim żyć przestał istotnie, a stało się to, gdy zagasły jak pochodnie gorejące oczy jego. Był to kot domowy, bury, z białą płatą na grzbiecie, z obciętym w połowie ogonem. Obcinają chłopi zwykle kocurom ogony mniemając, iż w końcu jego mieści się jad. Kocur ów długi był na półtora łokcia, łeb miał ogromny, uszy niewielkie, miejscami poszarpane. Zbliżywszy się do miejsca, w którem go kundys znalazł, spostrzegłem ogromnego zająca nieżywego, ale nie bardzo jeszcze uszkodzonego, bo kot nie rozpoczął był go zwiekać. Zapewniali mnie leśni, iż niemało on pożarł kuropatw, zajęcy, a niezawodnie i młodych sarn, bo widywali go w lesie przez lat trzy o każdej porze. Snać oddał się wyłącznie zawodowi rozbójniczemu, bo i w zimie buszował w polu i w lesie, i nie trzymał się obyczaju swych współbraci, którzy po pierwszej śniegowej przyprószce powracają do ludzkiej zagrody. Kotki zwykle nie trudnią się kłusownictwem, chyba gdy nie mają czem wyżywić kociąt. Radzę jednak wybijać włóczące się po polach i lasach koty bez uwzględnienia płci. Kundel nader niefortunnie wyszedł z tej walki, stracił jedno oko, uszy miał poszarpane, a głowa cała pogryzioną i podrapana spuchła i na zawsze nosiła szerokie blizny. *B.*

Z nad Sanu.

Październikowa niespodzianka śniegowa pomięszała szyki nie tylko nam owsosiejom, przysypując kartofle, które dziki wygrzebują w biały dzień; i w świecie zwierzęcym poczyniła ona niemałe zamięszanie. Trznadle zleciały się do siół, obsiadając brogi owsiane, kwiczoły też i jemioły chmarami przelatują tu i tam, zdziwione niezwykłem zjawiskiem. Czynią one to zwykle dopiero w końcu Listopada, gdy je z wyższych gór zawieruchy śniegowe wypłoszą. Sarny także, których mamy dosyć, zeszły z wyższych kniei do niższych, podszytych okrajków lub laskowych gajów, wychodząc na łączki, zwane u nas „młaczkami“, gdzie u brzegów Sanu ogryzają pręcie łozowe, gorzkawe wprawdzie, lecz dla nich smaczne i zdrowe pożywienie. Zaprawdę niemiła to niespodzianka, — liść pełen jeszcze życia zieleni się na drzewach, a już powleczony całunem śmiertelnym. Potoki a nawet bystry San pokryły się lodem, a toczy się San tuż przy mojej zagrodzie. Dzień był pogodny i mroźny, stałem w środku podwórza dumając nad znikomością wszechrzeczy, zwłaszcza niewytrwałością moich kartofli na mróz kilkunastostopniowy, cisza w około, przerywana tylko głośnem plaskaniem pralników, czyszczących bieliznę na zamarzłym Sanie, gdy wtem zawrzał niezwykły gwar i krzyk śród niewieściej rzeszy. Przypuszczając wypadek jaki, iż może która z piorących kobiet wpadła w wodę pod lód, biegnę ku nim co tchu, i przedstawia mi się zaiste arcy komiczna scena. Sześć kobiet ciągnie włokiem po gładkim jak szkło lodzie ujętą sarnę, która na lodzie zachowała się zupełnie biernie, lecz gdy u brzegu poczuła pod sobą grunt nie śliski, zerwała się, wyzwoliła z rąk trzymających ją kobiet i pomknęła wraz z wełnianym pasem, którym niby ciele za szyję była ujęta. Śmiech, wrzawa i lament właścicielki pasa, pobudził sarnę do tem spieszniejszej ucieczki, a była to koza, która też wkrótce znikła z oczów. Co ją mogło napędzić na goły lód, na którego powierzchni ani chwili nie mogła się utrzymać, niezdołałem dociec. Prawdopodobnie wilki ją napędziły na lody, gdzie ją z łatwością złowić mogły. Najzwyklejszy to sposób polowania tych rabusiów! *L.*

Ciąg jesienny słonek. Według wiadomości z różnych krajów był ciąg słonek przeszłoroczny mniej pomyślnym, jak w latach poprzednich, mianowicie w Niemczech i w Anglii zawód był dotkliwym. W ogólności pochód słonek z północy o wiele był wcześniejszym, jak zwykle, i zdawał się trwać prawie nieprzerwanie, zkąd wynikłoby rokowanie ostrej zimy. W Alpach pojawiały się pojedyncze słonki już z końcem Września, gdy następnie około połowy Października spadł w górach obfity śnieg, spodziewano się gęściejszego nalotu, ale oczekiwania nie ziściły się, i już z tego powodu rok ubiegły pod tym względem do gorszych policzyć należy. Na Węgrzech też, szczególnie na stokach Karpat, dostrzegano już 25 Września słonki, gdy wszakże wkrótce potem śniegi spadły, zwrócił się ciąg ku Czarnemu morzu i zaraz znikł dalszy pochód słonek. Może rok bieżący będzie w tej mierze pomyślniejszym.

„*Weidmannsheil.*“

Z Pokucia.

Z wielu stron kraju dają się słyszeć użalania na brak zwierzyny błotnej. Ja nie mogę podzielać tego zdania, gdyż w r. 1881 polując na błotach w obszarach przezemnie dzierżawionych t. j. Tyszkowiec, Czartowca, Okna i Czerniatyna, znalazłem stan błotnego ptactwa znacznie większy, jak w latach poprzednich. Niech świadczy liczba ubitej przezemnie zwierzyny: kszyków 188, dubeltów 36, ficlausów 8, batalionów, kulików i kurek 48 sztuk. Dodać muszę, że dobry strzelec znacznie większą liczbą mógłby był się poszczycić, ja zaliczam się do średnich, a jednak w pewnym dniu szczęśliwym zabiłem 36 kszyków, co może dać wyobrażenie o stanie błotnego ptactwa. Przepiórek było bardzo mało, a kuropatw nie widujemy wcale w tej okolicy. *L. C.*

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.